Nr. 4. Lwów, Niedziela dnia 23. Stycznia 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

IV.

BUDOWNICTWO.

We wielu gałęziach sztuki, Polacy zajęli już zaszczytne stanowisko — poezja, muzyka i malarstwo mają u nas genjalnych przedstawicieli — ale są dwie, w których nie stworzyliśmy jeszcze nic takiego, co by na powszechne zasługiwało uznanie.

Mamy na myśli budownnictwo i rzeźbę. Obie te sztuki idą w parze, gdyż druga jest dopełnieniem pierwszej, i obie mogą się rozwijać tylko u narodów bogatych, albowiem sam materjał jako bardzo kosztowny nie dla każdego jest przystępnym. Małe miasteczko nie zdobędzie się na pałac dla swej Rady, który miljony kosztuje, a w drewnianym dworku szlacheckim, nie będzie pomieszczenia dla rzeźb z kararyjskiego marmuru. Budownictwo i rzeźba w starożytnej Grecji dopiero wtedy zakwitły, gdy naród pokonawszy Persów stał się panem wielkich bogactw Wschodu.

Wszelako był czas, że i my nie bylismy takimi jak dziś lazaronami — ale wówczas ojcowie nasi bili się, kłócili, więc o pięknie nie mieli czasu myśleć. To też w owych wiekach nie wiele powstało pięknych gmachów, mniej jeszcze wspaniałych pałaców, lub zamków, a najmniej okazałych gmachów publicznych. Dziś możebyśmy i chcieli zasiać kraj pięknemi dziełami architektonicznemi, ale cóż gdy znów brakuje rzeczy najważniejszej: pieniędzy. Nie idzie atoli zatem byśmy budownictwo i rzeźbę po macoszemu traktowali nawet wtedy, gdy zbieg okoliczności pozwala nam zrobić coś dodatniego w tym kierunku.

Polska chociaż biedna jako kraj, ma bardzo wielu magnatów, rozporządzających miljonami. Ci panowie stawiają nieraz pałace, które ukończone wyglądają najczęściej jak budy jarmarczne. Zkąd to pochodzi, nie trudno odgadnąć. Książę X. albo hrabia Y. przeznacza na pałac pewną kwotę, czasem bardzo znaczną, lecz że sam nie ma wyrobionego smaku artystycznego, a w dodatku żałuje kilku tysięcy guldenów za piękny projekt, więc nie ogłasza kunkursu na plan, ale wziąwszy sobie pierwszego lepszego budowniczego, każe stawiać gmach według własnego widzimisię, i w ten sposób zamiast rzeczy pięknej, lub przynajmniej zbliżonej do pięknej, otrzymuje karykaturę. Oto żywe przykłady: we Lwowie mamy trzy większe budowle, które powstały w ostatnich latach, a z których każda krocie kosztowała: mianowicie pałace Gołuchowskich, Sapiehów i gmach banku Hipotecznego. Czy każdy z nich nie jest skończoną parodją dzieła architektonicznego? A jednak kto wydaje krocie, może jeszcze wydać kilka tysięcy na dobry projekt, a kilkadziesiąt lub choćby kilkanaście na ornamentykę, przyczyniającą się w wysokim stopniu do podniesienia całości budowy.

Jak korzystną rzeczą są takie konkursy, mieliśmy tego dowód właśnie teraz. Wydział Sejmu galicyjskiego ogłosił konkurs na plany mającego stanąć we Lwowie gmachu sejmowego. Projektów przysłano kilkadziesiąt, a niektóre z nich były prawdziwie piękne. I nie wątpimy, że kilka z najpiękniejszych są dziełami Polaków. A więc mamy talenta i w tej gałęzi sztuki — tylko dotąd nie mogły one niestety znaleźć dla siebie pola do popisu.

Nie żądamy rzeczy niemożliwych, nie stawiamy projektów, których urzeczywistnienie należy do marzeń, ale zwracamy uwagę tych wszystkich, którzy bądź dla siebie, bądź dla jednego miasta, bądź wreszcie dla kraju całego wznosić będą większe gmachy, aby zawsze ogłaszali konkursy, plany zaś nadesłane pod publiczną oddawali kontrolę. Korzyść ztąd wypłynie potrójna. Skorzysta najpierw strona bezpośrednio interesowana, skorzysta kraj cały, i skorzystają młode talenta, dla których wystawa planów jest najlepszą szkołą.

Jeszcze jedna uwaga. Kwota przeznaczona na gmach dla Sejmu galicyjskiego, jest tak małą że za nią nie można wystawić skromnego nawet budynku, jeżeli ten ma wszechstronnie odpowiedzieć swemu celowi. Nie wiemy który z planów zostanie przyjętym, ale chociażby komisja najtańszy wybrała, kwota preliminowana będzie musiała być podwyższoną, i Wydział ujrzy się w konieczności żądania od Sejmu dalszego kredytu. Jeżeli rzeczy tak stoją, to niech komisja rozważy, że ani 100 ani nawet 200 tysięcy nie mogą tu decydować, i że dla tego powinno się wybrać plan ile możności najpiękniejszy, aby Lwów, a względnie cała Galicja miała przynajmniej jeden gmach przyzwoicie wyglądający.

Kraj cały nie pożałuje pieniędzy, jeżeli pałac, w którym zasiądą jego przedstawiciele, będzie prawdziwie pięknym.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

VI.

„Albo nawet jeszczcze dziś w nocy!“ — bywają czasem słowa prorocze.

Rozmowa powyżej przez nas powtórzona miała miejsce w tydzień mniej więcej po pamiętnej rewizji w dworze Łaszczynieckim.

Jenerał - gubernator w Kamieńcu był przez cały ten tydzień w najgorszym humorze, który uczuwali wszyscy jego podwładni.

Znajdował się w okolicznościach, które nie wiedział jak ma z sobą pogodzić.

Przedewszystkiem równocześnie z wydaniem ukazu, że powstanie w Kongresówce ma być w ciągu dni dziesięciu stłumione, otrzymał rozkaz z Petersburga, żeby w powierzonych jego pieczy gubernjach pod żadnym pozorem żadnego powstania nie było.

Odebrawszy ten rozkaz spał spokojnie. Od czasu do czasu jednak odbierał niepokojące i przerywające ten sen wieści. Ajenci z Galicji donosili, że tam organizują się oddziały. Jenerał - gubernator wszystko rozporządzalne wojsko obrócił na najściślejsze pilnowanie granicy, i uspokoił się znowu.

Następnie poprosił o audjencję Paweł Onufryjewicz von Pfeler, i nagadał *jewo prewoschoditelstwu* strasznych rzeczy o Achillesowej pięcie, o wierności dla rządu pana marszałka Szóstackiego, o potrzebie najsilniejszego obsadzenia wojskiem najbliższych Kamieńca okolic, o zapalonym materjale tych okolicach i Bóg wie o czem.

Jewo prewoschoditelstwo zatrwożył się niezmiernie tą relacją. Gdyby wiadomość przywieziona przez kapitana sprawnika nie pochodziła od tak poważnej osoby jak pan marszałek, *jewo prewoschoditelstwo* nie przywiązywałby do niej żadnej wagi. Skończyłoby się na tem, że kapitan sprawnik usłyszałby legendę o *krugom durakach.* Ale marszałek musiał przecież znać swój powiat, a co do wierności jego dla rządu nie ciężyła na nim żadna poszlaka. Z takiem doniesieniem rachować się trzeba było.

Prewoschoditelstwo zatelegrafował do jeneralnego sztabu, że potrzebuje kilku pułków wojska i armat.

Odpowiedziano telegrafem, że dwa bataljony mogą być przysłane za trzy tygodnie, ale że lepiej byłoby, gdyby i tych nie było trzeba. Gdyby był *prewoschoditelstwo* przedsięwziął należyte środki ostrożności, nie byłby potrzebował teraz posiłków.

Był to nos, jeden z delikatniejszych ale nos zawsze. *Prewoschoditelstwo* wpadł w wściekłość, która dla wielu jego podwładnych nazawsze będzie pamiętną, a najpamiętniejszą dla *dieńszczypka,* który mu podał ten telegram i oczekując rozkazu odejścia stał przed nim wyprężony jak struna.

Dieńszczyk ten od dnia owego liczy w swych szczękach mniej o dwa zęby.

— *Czort pabieri! czort pabieri!* — powtarzał jenerał chodząc po pokoju i uderzając się ręką w czoło; — no, ale przez trzy tygodnie oni tu przecież nie zrobią powstania, a dwa bataljony na każdy przypadek wystarczą.

I znowu uspokoił się ekscelencja, ale tym razem tylko na 24 godzin.

Nazajutrz złożono mu raport, że czastny prystaw Iwan Iwanowicz odbył w Łaszczyńcach u marszałka Szóstackiego rewizję i znalazł rozkaz od podziemnego rządu, wzywający tegoż marszałka, ażeby pod karą śmierci zapłacił narodowy podatek.

Była to ktopla, która przepełniła czarę.

Jewo prewoschoditelstwo przeszedł w stan nieustającej wściekłości.

Rzeczywiście zuchwalstwo *buntowszczyków* było okropne! Śmieli zbierać podatki tuż pod nosem jenerał-gubernatorskiej mości, i grozić poprostu śmiercią najlojalniejszym obywatelom. Niewiele brakowało do tego, żeby się ośmielili nałożyć buntowniczą kontrybucję, z podobną pogróżką, na samego jenerał-gubernatora.

Tego już *jewo prewoschoditelstwu* było zanadto. Zęby *dieńszczypka* nie opłaciłyby dostatecznie złego humoru, w jaki go wprawiła ta wiadomość, i to było przyczyną, że *dieńszczyk* pozostał z taką samą liczbą zębów, jaką miał dnia poprzedniego.

Prewoschoditelstwo zadzwonił i kazał posłać po policmajstra, zastrzegając, żeby przybył jak jest, nie zwlekając ani sekundy.

Policmajster przybył w ciągu kwadransa. Tak się śpieszył, że jeden guzik jego munduru pozostał tylko do połowy zapięty, drugą zaś połową ukrywał się jeszcze w głębi odnoszącej się do niego dziurki.

— *Ach! wy sukinsyny, ja was nauczu!* — rzekł na jego powitanie *prawoschoditelstwo.*

Policmajster był „pełnym kapitanem.“ *Swod wojennych postanowlenij* (kodeks wojskowy) nie pozwala zwierzchnikom w wojsku moskiewskiem traktować podwładnych oficerów obelżywemi wyrazami, ale jeżeli zwierzchność pozwoli sobie obelżywego wyrażenia w liczbie mnogiej, chociażby ta liczba mnoga i oficera z nim rozmawiającego obejmowała, to o tem *swod wojennych postanowlenij* nic nie mówi.

Kapitan milczał. Pierwsza burza spadła na niego za niedopięty guzik. *Jewo prewoschoditelstwo* nie byłby jenerałem, gdyby przedewszystkiem nie patrzył na guziki.

Następne gromy posypały się o złą policję. Raport o znalezionym w Łaszczyńcach dokumencie przykładany był policmajstrowi kilkakrotnie do oczów i do nosa, w ten sposób, że gdyby ręki od twarzy papier nie przegradzał, biedny „pełny kapitan“ byłby zmuszony akt ten przyjąć za czynną obrazę honoru.

Zakończył audjencję rozkaz kategoryczny i niecierpiący repliki.

— Jeżeli w ciągu tygodnia nie będę miał w ręku *naczelnika buntowszczyków* z kamienieckiego powiatu, *tak ja was progoniu k czortu i razżałować prykażu* (wypędzę do djabła i każę zdegradować.)

— *Słuszajut wasze prewoschoditelstwo* — odpowiedział na to policmajster, i na gniewne skinienie jenerała, opuścił krokiem przepisanym dla podwładnych niegościnne gubernatorskie progi.

Przyszedłszy do swojej kancelarji kapitan-policmajster, stał się naturalnie gubernatorem. On tu był Jowiszem miotającym gromami, on zionął przekleństwami, wymyślaniem i grozą. Wylew gniewu *prewoschoditelstwa,* który spłynął na *wysokorodje,* nie mógł się w łonie *wysokorodja* zatrzymać, musiał się przelać na głowy jego znowu podwładnych, jawnych i tajnych ajentów policyjnych, *pisców* i innej biurowej *swołoczy.*

Najwięcej się dostało, rzecz prosta, tym policyjnym pieskom, którzy na zewnątrz odgrywali rolę uczciwych i niezależnych ludzi, choć służyli *prawitelstwu* uszami i mieli obowiązek od czasu do czasu zgłaszać się do policmajstra z ustnym raportem. Tym *wysokorodje* wprost zagroził odjęciem płacy jeżeli się poważą w ciągu dni sześciu naczelnika buntowników nie dostawić.

Po takim rozkazie kazał im odejść. Wszyscy wykonali rozkaz posłuszni, ale jeden pozostał.

— Czego chcesz? — zapytał go z gniewem *wysokoradje* — *paszoł won!*

Ajent stał nieporuszony.

— No, gadaj czego chcesz! — powtórzył policmajster cokolwiek udobruchany.

— Sto rubli i paszport do powiatu zaraz, a potem dwieście i paszport do Galicji, z zachowaniem dotychczasowej płacy i djetami...

— I naczelnik będzie za sześć dni?...

— Za sześć dni będzie.

— A jak nie?

— Jak nie, to pan kapitan nie będzie miał na kogo się gniewać, bo Rafała Fajskiego wprzód powieszą gdzie na gałęzi.

— No, no tak źle nie jest, — rzekł pocieszając szpiega policmajster, — zresztą gdyby ci się co złego stało, to będziemy pamiętali o twoich dzieciach.

— Nie mam dzieci, panie kapitanie.

— Więc o żonie.

— Nie mam żony.

— Tem lepiej. Taniej tego nie możesz zrobić?

— Nie, panie kapitanie.

— No, to pisz kwit.

Rafał Fajski usiadł i napisał. Napisał 120 rubli zamiast stu. Kapitan przeczytał uważnie i wypłacił sto rubli. Różnica sumy napisanej nie zastanowiła go wcale; nie zdziwił się również ajent że mniej dostawał niż kwitował. Była to widać rzecz zwyczajna i prawidłowa, rzecz należąca do systemu.

Otrzymawszy pieniądze, Rafał Fajski poczekał chwilę. W kilka minut napisano mu paszport. Wziął go, ukłonił się i wyszedł.

Nie był to już człowiek młody, miał lat może pięćdziesiąt. Nosił się tak, że niktby nie przypuścił, iż ma w tej chwili sto rubli w kieszeni; możnaby go posądzić najwyżej o dwuzłotówkę. W wyszarzanej szaraczkowej długiej kapocie, przygarbiony, powolny, cichy, nie można było nawet o nim powiedzieć, że Bogu duszę winien, bo co był Bogu winien zaraz oddawał. W całym Kamieńcu wiedziano, że się spowiadał co tydzień przed swym stałym spowiednikiem, jednym z najpobożniejszych zakonników, ojcem Nikazym, ale w całym Kamieńcu nikt nie wiedział, że się spowiadał codzień lub co dni parę przed policmajstrem, nie wiedział nikt, naturalnie oprócz niektórych pomiędzy tymi, co do tego samego przystępowali konfesjonału.

Codziennie służył do mszy ojcu Nikazemu, i codzień najmniej trzy razy spędzał w kościele najmniej po godzinie. Żył z łaski ludzkiej. W jednym z klasztorów miał codzień objad, od kilku dobrodziejów dostawał miesięcznie po parę rubli; ojciec Nikazy zbudowany jego pobożnością i czystością sumienia, które poznał z konfesjonału, dawał mu codziennie dwudziestogroszówkę; mieszkał w skromnej izdebce, w której nie przyjmował nikogo. Jedyną jego ludzką namiętnością było wsłuchiwać się w to co ludzie mówią, a gdy mówili co zdrożnego, gdy bluźnierstwami albo gorszącemi rozmowami obrażali pana Boga, prawić im morały łagodne i przyrzekać, że za ich na-

wrócenie i poprawę modlić się będzie do nieba.

Przestrogi te i morały były prawione z taką chrześcijańską pobłażliwością, że nieraz za te nauki słuchacz zbudowany wsuwał podtatusiałemu mentorowi jaką złotówkę w dłoń, z chrześcijańskiej pokory nigdy się nie cofającą przed datkiem.

Jednem słowem Rafał Fajski był świętym, a przynajmniej byłby niezawodnie zapisanym do listy świętych, gdyby od opinji ogółu zależały kanonizacje.

I wpisując go do listy świętych dodanoby przy jego nazwisku wyraz „męczennik.“

Wiedziano bowiem powszechnie, że Rafał Fajski należy do ludzi srodze prześladowanych przez policję. Nazwisko jego znajdowało się na liście podejrzanych i zostających pod najsurowszym nadzorem. Obowiązany był meldować się codzień do policji, na dowód że jest w miejscu, a gdy raz zachorował, codzień policjant przychodził do niego sprawdzić, czy gdzie nie umknął z miasta, z którego krokiem wydalać się nie było mu wolno.

Zdarzało się że go zaptywano, co tak okropnego zrobił rządowi, że go tak okrutnie prześladuje.

Na to pytanie Rafał Fajski wzdychał pobożnie, spuszczał oczy i odpowiadał:

— Eh! co tam mówić!.., *Propria laus sordet*, jak mówi mędrzec. Niech się nikt z tego że spełnił obowiązek nie pyszni. Com zrobił, zrobić byłem powinien, lecz niech to będzie Bogu tylko i mojemu spowiednikowi wiadomo.

Wiadomem było, że mu skromność o zasługach swoich mówić nie pozwala; odpowiedź taka była więc zarazem dowodem skromności i zasług.

Łacińskie maksymy, których Rafał Fajski od czasu do czasu używać lubił, świadczyły, że nie z jednego pieca chleb jadł, że go kiedyś z książek uczono, i że ministranturę, którą codzień powtarzał, służąc do mszy swemu spowiednikowi, nietylko klepał z pamięci lecz rozumiał.

Wszystko więc razem świadczyło na korzyść Rafała; jedno tylko mogło świadczyć przeciw niemu, a tem jednem była fizjognomja. Była to typowa fizjognomja tak zwanego w języku ludowym „jezuska.“ Oczy siwe zawsze spuszczone skromnie, głowa pochylona, nos mały, cieńko zakończony, wargi zaciśnięte, twarz blada, chuda, powaga wieczna; uśmiech, jeżeli się ukazał, był tylko cieniem tego co właściwie nazywać się może uśmiechem. Nad czołem ogromna łysina, po bokach i w tyle głowy rzadkie siwe włosy, czapka zimą i latem ciepła z dużym daszkiem, cała postawa chuda i mizerna. Nic sympatycznego nie było w tej fizjognomji, nie pociągała ona, odpychała owszem, ale nasłuchawszy się o cnotach jej właściciela, przzkonawszy się o jego pobożności, dowiedziawszy sie wreszcie o prześladowaniu jakiego był ofiarą, oswajało się z nią prędko i nabierało się przekonania, że to tylko pomyłka ze strony pani przyrody, która umieściła złą etykietę na dobrym i niefałszowanym towarze.

Prosto z policji poszedł Rafał Fajski do kościoła i ukląkł przy konfesjonale, w którym z drugiej strony spowiadał kogoś ojciec Nikazy.

Co ze swym spowiednikiem mówił w tem miejscu, tego sam niezawodnie nikomu nie powtórzył także ojciec Nikazy, jeden z najgodniejszych swego stanowiska kapłanów. Tego zatem nie wiemy. Musimy więc poprzestać na tem, że się oskarżał z grzechów swoich, i że nieciężkie one być musiały w ciągu ubiegłego tygodnia, bo spowiedź trwała króciej niż innych tygodni, a ojciec Nikazy wyrzekł nad głową swego penitenta rozwiązującą i oczyszczającą formułę:

— *Ego te absolvo!*

Po zapukaniu przez spowiednika na znak że może odejść, Rafał Fajski powstał i z pokorą ucałował rękę kapłana.

— Więc po jedenastej — szepnął mu ksiądz.

— Po jedenastej?— powtórzył również cicho panitent.

Na klęczkach od konfesjonału odszedł Rafał Fajski do bocznego ołtarza, w którym znajdowało się cymborjum i wkrótce potem odmówiwszy wyznaczone pokutne modły, przystąpił do stołu bożego.

Potem modlił się z książki, a następnie, zamknąwszy książkę i ucałowawszy ziemię po trzykroć, pozostał jeszcze na klęczkach i w niemem zachwyceniu wpatrywał się w obraz Chrystusa, umieszczony w ołtarzu.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

XII.

BRYGANCI.

— Oddaj mi nożyk! — woła jeden malec.

— Nie oddam! — odpowiada drugi.

Scena odbywa się w polu za domami: malce pasą bydło.

— Oddaj! — powtarza pierwszy — bo cię zabiję!

— A no, spróbuj!

Wszczyna się bójka i krew się leje. Wprawdzie na krzyk słabszego zbiegają się starsi, którzy we winnicach pracowali, i rozbrajają zapaśników — ale jutro sprzeczka pewnie się ponowi, a gdy obadwaj dorosną, będą z nich — bryganci.

Giovanni i Lodovico kochają jednę dziewczynę; ona sprzyja pierwszemu. Drugi nie ustępuje jak tego honor wymaga, lecz zabija współzawodnika, i zostaje bryganten.

S. nie lubi płacić podatków. Władza upomina go kilkakrotnie, wreszcie przysyła mu egzekutora. S. ujrzawszy u siebie poborcę, wpada w gniew, wyciąga nóż z za cholewy i przebija urzędnika. Po takim czynie nie pozostaje mu nic, jak pójść w bryganty.

T. został w tawernie przy grze wypoliczkowany. Nazajutrz człowiek, który go obraził, zginął pchnięty żelazem skrytobójczem. Głos powszechny wskazuje T. jako sprawcę zbrodni. Policja udaje się do jego mieszkania, ale już go tam nie ma. On od dwóch dni uwija się z bryagantami...

U. jest leniwy, jak każdy Włoch w prowincjach południowych — całemi dniami włóczy się po ulicach lub nad brzegiem morza, kradnąc przechodniom chustki, zegarki i pugilaresy. Ale że każdy dobrze się dziś zapina, a chustki same tak małą wartość przedstawiają, więc pan U. chodzi głodny, złorzecząc zawistnemu losowi. Widząc że przemysł tego rodzaju nie zaprowadzi go daleko, postanawia zrabować kogoś w domu, a gdy mu się to powiedzie, zostanie bryganten na całe życie.

Jeżeli do przykładów powyższych dorzucę namiętności polityczne, defraudacje popełniane w kasach rządowych i prywatnych, wreszcie niesłychane pragnienie wolności indywidualnej, do której każdy Włoch wzdycha, łatwo czytelnik pojmie, co na półwyspie Apenińskim podsyca brygantyzm. Rekrutuje on się prawie co dzień i niemal ze wszystkich warstw społeczeństwa.

W prowincjach północnych nie przybrał on nigdy większych rozmiarów, gdyż panujące tu rządy, mimo wątpliwej swojej moralności politycznej, starając się utrzymać przynajmniej pozory dobrych rządów, ścigały rozbójników. Natomiast w dawnem państwie Kościelnem, i w królestwie Neapolitańskiem, brygantyzm stał się niemal instytucją narodową. Rząd włoski nie może go tam wytępić do dnia dzisiejszego, a dopóki góry rzymskie, Abruzzy i cała Sycylja nie zostaną poprzecinane dobremi drogami, i dopóki społeczeństwo nie umoralni się do tego stopnia, by każdy obywatel nie lękając się możliwej vendetty, poczytywał sobie za obowiązek świadczyć przeciw zbrodniarzom, dopóty nie będzie tam mowy o radykalnem wykorzenieniu tej plagi.

Właśnie dziś, gdy te słowa piszę, groźne wiadomości nadchodzą z Sycylji. Kilka band dobrze uorganizowanych uwija się po wyspie, a mieszkańcy, chcąc sobie spokój okupić, płacą im haracz dobrowolny. Rząd nie wie co począć, władza jego okazuje się za słabą, gdyż nie ma poparcia w społeczeństwie.

Wśród takich stosunków, łagodność nie doprowadzi do celu. Na terroryzm jest tylko jedno lekarstwo, terroryzm. Rozumiał to Joachim Murat, i gdyby on był dłużej panował, w południowych prowincjach włoskich możeby do dziś dnia nie było jednego bryganta.

Straszne rzeczy działy się w r. 1809. Sądy królestwa wykazały w tym jednym roku 30.000 wypadków brygantyzmu*). 30.000, to nie drobnostka! Murat poznał, że trzeba działać sprężyście, i w tym celu wydał najsurowsze rozporządzenia. Naczelnicy wojskowi otrzymali rozkaz sporządzenia list wszystkich osób podejrzanych. Kto się na takiej liście znalazł, był na śmierć skazany. Listy zostały przybite na wszystkich miejscach publicznych, a kto nazwiska skazańców przeczytał, był obowiązany pod karą śmierci, zabić lub przytrzymać każdego, gdyby go zobaczył. Równej karze ulegał ten, kto był znany jako przyjaciel lub powiernik skazańca. Rodziny zaś naczelników lub wybitniejszych brygantów, zostały uwięzione jeszcze przed sporządzeniem owych list, a ich majątki uległy konfiskacie.

Rząd przeraził się, gdy wszystkie listy

*) Patrz dziełko Woldemara Kaden, Stuttgart—1875, z którego wyjąłem przytoczone w tem miejscu szczegóły.

*

przyszły: on spodziewał się tylko znacznej liczby brygantów, a tymczasem była to cała armja, która gdyby była zgodnie postępowała, nieliczni Francuzi byliby musieli wynieść się z kraju. Na szczęście jednak, wąż miał liczne głowy, a więc łatwiej można go było pokonać.

Odtąd policja miała najobszerniejsze pełnomocnictwo; w dodatku otrzymała jeszcze jedną ustawę, która każdą gminę robiła odpowiedzialną za czyny brygantyzmu, popełnione na jej terytorjum.

Wkrótce też wszystkie więzienia były przepełnione. Jęczeli w nich rodzice, których synowie znajdowali się na liście, niewinne siostry, których bracia byli podejrzani — nawet małe dzieci. Terroryzm panował!

Najwybitniejszym przeestawicielem tego systemu był jenerał Manhes, który rządził w Kalabrji. Chcąc brygantyzm zniszczyć jednym zamachem, przedsięwziął on środki odpowiednie. We wrześniu i październiku 1809 r. uorganizował swoją armję i milicję obywatelską, a gdy już z pola wszystko zostało zebrane, rozpoczął łowy. Bryganci byli zwierzyną, każdy obywatel mogący broń udźwignąć — strzelcem. Jedyną karą była kara śmierci. Jej podpadał każdy, kto bodaj jedno słowo z brygantem wymienił — kto brygantowi dał kawałek chleba lub kroplę wody — kto po za domem swoim miał w kieszeni bodaj kęs chleba! Pola leżały odłogiem, a przy każdej większej trzodzie, która pasła się w znaczniejszem od wsi oddaleniu, znajdowali się żołnierze. Po uorganizowaniu tego systemu ogłodzenia, rozpoczęły się łowy właściwe. Straszne, niesłychane rzeczy, opowiada historja z owych czasów — ale kraj został oczyszczony.

Pewnego dnia jedenaście kobiet i dzieci wyszło z miasteczka Stilo do pobliskiego gaju oliwnego na zbiór oliwek. Wesoło gwarząc i spiewając zrywały owoce — gdy w tem zjawia się oddział żandarmów znęcony głośnemi spiewy. Porucznik kazał przetrząść kieszenie kobiet. U jednej znaleziono kawałek suchego chleba z kukurydzy—za co niezwłocznie nastąpiła egzekucja. Najstarsza z matek błagała, aby darowano życie jej małemu synkowi — ale napróżno. Strzały zagrzmiały i jedenaście ofiar legło w gaju oliwnym.

W krzakach koło Cosenzy schwytano starca w chwili, gdy jakiemuś wynędzniałemu młodzieńcowi podawał trochę żywności. Młodzieniec był brygantem — starzec jego ojcem. Obu pojmano i odstawiono do Cosenzy. Żeby zaś lud miał przykład odstraszający, rozstrzelano wpierw syna, a dopiero potem ojca.

W lesie S. Biase, kobieta będąca żoną briganta, powiła syna. Nie mogąc uciekać z niemowlęciem u piersi, i bojąc się, aby krzyk dziecka nie zdradził kiedy miejsca ich pobytu, udała się nocą manowcami do miasteczka Nicastro, gdzie odszukała dawną swoją przyjaciółkę. Zalewając się łzami, powierzyła jej swoje niemowlę, a gdy świtać zaczęło, uszła w góry. Tego samego dnia, jenerał Manhes dowiedział się o tem zdarzeniu, a chociaż dziecku życie darował, piastunkę jego kazał natychmiast rozstrzelać.

Nie oszczędzano żadnych uczuć, żadnych związków. Ojciec musiał ścigać syna, syn zabijać ojca, brat walczyć z bratem, przyjaciel z przyjacielem, a kraj cały wyglądał jak po rozbiciu lub wielkiem trzęsieniu ziemi — każdy myślał tylko o ocaleniu swejego życia. Wkrótce też z listy skazańców wszystkich wymazano, bo wszyscy zginęli. Za to drogi i góry były bezpieczne jak nigdy. Nie jeden z pojmanych umiał zginąć z takim heroizmem, że lud zaczął ich pamięć wielbić, i w pieśniach do dziś przechował o nich wspomnienie.

Między naczelnikami brygantów, był jeden nazwiskiem Brancasa, który najdłużej trzymał się w lasach Cassano. Zdradzony nareszcie przez własnych, został we śnie związany i do Cosenzy odstawiony. Jenerał Manhes, pouczony oddawna o jego czynach zuchwałych, rozkazał, by mu odcięto obie ręce. W takim stanie miał być odprowadzony do San Giovanni in Fiore, swego miejsca urodzenia, i dopiero tam stracony. Nieszczęsny wiedząc, że wszelkie prośby i błagania o litość byłyby daremne, postanowił zginąć odważnie jak Rzymianin starożytny. Zaczęto od prawej ręki, i szybko ranę obwiązano, nie przez miłosierdzie, którego wówczas nie znano, ale żeby w skutek upływu krwi skazany nie umarł przedwcześnie. Ani jeden krzyk nie wyrwał się przez usta brygantowi; spokojnie i dumnie położył lewą rękę na klocu. Gdy i ta odpadła, związano obie na krzyż, i nieszczęsnemu zawieszono na piersiach. Straszny musiał być widok, gdy go w tym stanie prowadzono przez ulice Cosenzy! Gdy przyszedł do swego miasteczka, spędził noc w więzieniu — a nazajutrz zginął spokojnie na rusztowaniu! Lud wielbi go jak bohatera, bo każdemu ludowi odwaga imponuje.

(Dok. nast.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Między wracającymi z Mekki pielgrzymami, których na odpoczynek zaprosił do swego namiotu, starzec Selim, trawiony smutkiem, wydał się naszemu bohatyrowi właśnie jedną z takich postaci, przed którą mógłby bez narażenia się na obojętność lub szyderstwo, odkryć tajemnice swojej przeszłości. Nie wiedział wprawdzie kto on, ani słyszał jego nazwiska; zdawało mu się nawet, że w życiu swojem pierwszy raz tego starca ogląda; ale znamię przebytych cierpień na jego obliczu było dlań dostateczną pobudką do zwierzenia się.

Starcze! na twojej pooranej twarzy
Widzę znak bolu; — ona mi się skarży,
Choć usta milczą w przyrodzonej dumie...
O! moje oko duszę zbadać umie:
Bo komu serce raz cierniem przebito,
Wyczyta boleść, choćby jak ukrytą!

Przyjąwszy więc gości świeżemi owocami i odprawiwszy następnie wespół z nimi wieczorne modlitwy, z twarzą, jak prorok rozkazuje, obróconą ku świętej Mece, uderzył w struny i rozpoczął pieśń życia. Z powieści Araba dowiadujemy się o tem wszystkiem, cośmy dopiero przytoczyli jako główną charakterystykę samotnego mieszkańca oazy, a nadto poznajemy z niej jeszcze bliższe szczegóły owej namiętnej a tyle nieszczęśliwej miłości, która skrzywiwszy drogi jego żywota, samego w końcu zagnała do tej pustyni.

Było to dawno, bardzo dawno — w ślicznych dniach wiosny — nad brzegami uroczemi Jemenu. Tutaj upływała młodość naszemu bohatyrowi, rycerska i poetyczna, którą uwydatniliśmy w kilku rysach. Tu poznał on także owe dziewczę cudnej urody, Zairę, która pierwszem wejrzeniem podbiła serce młodzieńca.

...... Za tych drzew szeregiem
Tam jej zasłona powionęła śniegiem....
Allah! jak piękna! — Stanąłem jak wryty,
Chwytając promień od jej ócz odbity;
I gdyby ona w krzewy się nie skryła,
Byłbym stał niemy jak ciosowa bryła!
Odtąd już wszystkie sny, marzenia moje
Szły z jej śladami, jak z bluszczem powoje;
Kiedy się śmiała, pałałem uciechą,
Gdy była smutna, to mych pieśni echo
Tak się żałobnie dźwięczyło o skały,
Że mię słuchając dziewice płakały....

Kochający młodzieniec był szczęśliwy, bo piękne dziewczę przywiązało się doń równie namiętnem uczuciem. O jakże cudownym wydawał mu się teraz świat cały! Nietylko z ludźmi, ale i z żywą, czującą przyrodą zapragnął podzielić się szczęściem swojem. Więc na dzielnym koniu upojony roskoszą, przebiegał nieraz prawie całą Arabię, aby się wszędzie dowiedziano o tem: „że Eden płynął dlań z pełnej czary.“ Ale szczęście ludzkie jakże nietrwałe! Zagadkowa przyszłość w łonie swojem ukrywa nieraz wypadki, o których nie śni nawet najbujniejsza imaginacja. Tak i tu się stało. Naszemu Arabowi wypadło na czas pewien porzucić kochankę, a udać się w daleką podróż z kupców karawaną. Wypadek ten nie zdawał się dlań wróżyć żadnego nieszczęścia — wszak tyle razy już przebiegał konno rodzinne stepy; nawet serce jego w tej stanowczej chwili nie przeczuwało nic złego, biło spokojnie. Oddał więc straż dziewicy wiernemu druhowi i pojechał. Hafed był szczerym przyjacielem i uroczystem zaklęciem poprzysiągł dotrzymać zobowiązania.

Jak długo trwała ta poniewolna podróż, nie wiemy. Jakie uczucia obudziła w spokojnem dotąd sercu naszego bohatyra, domyśleć się łatwo. Powracał on wielce stęskniony do stron ojczystych, z bijącem sercem witał znane dobrze rozłogi, spowite we mgle poranku. A tak mu było spieszno!

Ruszaj, mój koniu! ty wiesz, gdzie wracamy;
Wkrótce obaczym świętej Mekki bramy....
Minaret święty.... cyt! tam nasze życie!
Tam żyje ona jak anioł w błękicie....

I spiął konia ostrogami i pognał jak strzała. Już stanął w zaciszu palmowem, już zasyłał dziękczynne modły do wielkiego Allaha, gdy nagle błoniem przemknął znany mu Beduin, ale ani nań spojrzał, ani go powitał. Zawołał głośno na pędzącego. On wstrząsł się, poznawszy Araba, jakby z przestrachu, i tyle tylko powiedział w przelocie:

O bracie młody, wracaj, wracaj spieszno:
Tam ci syn szejcha wydarł twą ptaszynę!

Nowina ta spadła ponurym gromem z jasnego nieba. Krew zakipiała w sercu biednego kochanka. Usiłował zatrzymać posła złowrogiej wieści.... Daremnie! wypuszczona za koniem strzała zmyliła drogę... Beduin pognał jak szalony — i niebawem znikł z oczu.

Żądza strasznej zemsty owładnęła teraz całą istotą nieszczęśliwego. Porankowe tchnienia wonnej przyrody wydały mu się jak zatrute oddechy; każde drzewo, każdy krzew to jakby szydziły z jego bolu, to znowu zdawały się powtarzać jakieś ciężkie klątwy. A jemu w duszy ponad inne głosy dźwięczały słowa:

O! ja ją wydrzeć albo pomścić muszę....
Selimie! czartom ciebie dziś poświęcę!

I leciał pędem szybszym od huraganu — aż na piaskowej fali zobaczył tuman kurzawy. Patrzy i oczom swoim nie wierzy: to Hafed pomyka z ukochaną jego Zairą. Ha! więc i druh najwierniejszy zdradził?!... Spojrzał w kołczan; tkwiła w nim tylko jedna strzała, bo inne zamienił na perły dla lubej. Dobył tej strzały, położył ją na majdanie, wymierzył — i w jednej chwili z dwojga piersi ozwał się jęk śmiertelny. Pobiegł do ranionych ze śmiechem szatańskim, lecz jakież było jego rozczarowanie! Oto Hafed unosił Zairę przed gwałtem syna szejcha, Selima, który nie mogąc prośbami zyskać wzajemności u wiernej dziewicy, przemocą porwać ją postanowił. Hafed uprzedził jego zamiary, ale oboje padli teraz ofiarą fatalnego zbiegu dziwnych okoliczności.

Tak odegrał się krwawy dramat samotnego mieszkańca oazy. Po tem wszystkiem mógł już teraz szukać tylko śmierci i odpoczynku w grobie. Zapewne! Cóż mogło być dlań pożądańszem a może i łatwiejszem jak śmierć w rozpaczy?... Ale powinność nakazywała zemstę na moralnym sprawcy katastrofy. Pojechał zatem do Mekki, aby dopełnić tej powinności, lecz nadaremnie wołał na bratnie plemiona. Jedni odwracali oblicza od zrozpaczonego, inni szydzili z jego nieszczęścia; byli i tacy, co do szyderstwa dodali obelgę, pomawiając biednego o obłąkanie. Ojciec Zairy umarł z boleści, a Selim ujechał do Egiptu.

Tak przeszedł nasz bohatyr wszystkie stopnie bolu aż do zwątpienia w Boga... i do pogardy ludzi. Uciekłszy od świata, stał się samotnikiem, i wiemy już, jakim sposobem wrócił w końcu do równowagi umysłu.

A teraz powróćmy do głównej osnowy poematu. O tem wszystkiem, cośmy dopiero w szczegółach przytoczyli, opowiadał Spiewak z oazy w kassydzie gościom swoim. Powieść jego głębokie wrażenie wywarła na umysłach młodych Arabów, a szczególniej na umyśle starca, którego oni ojcem zwali. Był nim ten sam Selim, syn szejcha, niegdyś rywal naszego bohatyra, a obecnie pokutnik i gość jego. Na nim ta powieść uczyniła najgłębsze wrażenie. Poznał on teraz kto go darzył odpoczynkiem i posiłkiem; a choć impet rozdmuchanej wspomnieniami zawziętości jemu pierwszemu doradzał uderzyć na dawnego wroga, przecież przezwyciężył się i nie zdradził niczem.

Gdy się kassyda skończyła, świtał już poranek po krótkiej nocy letniej, i podróżni nasi w dalszą wybierali się drogę. Posiodłali konie, powsiadali, a gospodarz pożegnał odjeżdżających serdecznem: „Niech Allah prowadzi!“ Już ruszyli; — wtem nagle przed nimi ukazują się zbrojni jeźdźcy w nieprzyjacielskiej postawie. Poznał ich Selim: była to drużyna Hassana. Przybyła chwila odwetu, długo z bojaźnią oczekiwana; wiemy już bowiem, że Selim niegdyś Hassanowi w walce zabił był syna. Poczciwy mieszkaniec oazy w tej groźnej okazji nie opuścił swoich gości, czuł w sobie jeszcze dość siły do obrony napastowanych. Zawrzała walka, zapastnicy pierzchli, ale Selim padł, śmiertelnie ugodzony strzałą. Konając poruczył najprzód opiece starca synów swoich; a gdy tenże podjął się zastąpić sierotom ojca, wyjawił mu wreszcie, kim był. Sędziwy Arab przebaczył umierającemu, stanął na czele osieroconej drużyny, porzucił swoje odludne mieszkanie, i powracał uspokojony do bratnich plemion. Nakazanej zemsty tak dziwnie dokonała tajemnicza ręka przeznaczenia!...

Rozwiedliśmy się nad tym utworem naszego poety, bo trudno było w zwięzłem streszczeniu wskazać na zalety szczegółów, któremi się odznacza to opowiadanie. Przyznają nam czytelnicy, że Romanowski daleko lepiej wywiązał się tutaj ze swego zadania, aniżeli w *Chorążym*. Widać już dokładniejsze pojęcie psychicznego życia tych postaci, które wprowadza, widać także większą wprawę w kreśleniu charakterów. Koloryt miejscowy zrozumiany dobrze i oddany szczęśliwie. Z tem wszystkiem nie jest to kreacja, którejby już nic a nic zarzucić nie można. Kto uważniej przeczytał *Spiewaka z oazy*, tego zapewne zastanowić musiało nie dość odpowiednie motywowanie zdarzeń, tudzież niekoniecznie szczęśliwie dobrany stosunek obu naczelnych postaci. Co do pierwszego, przypomnijmy sobie, że na Selimie od początku do końca cięży głównie zemsta jakiegoś Hassana, któremu w walce zabił był syna. Kto był ten Hassan? co wprowadziło jego syna w kolizję z Selimem? o tem wszystkiem milczy poemat. Spotykamy się z faktem gotowym, nieusprawiedliwionym, a jednak wielce ważnym, bo w następstwie swojem sprowadzającym znaną katastrofę. A ów brat, na którego wspomnienie drży Selim, któremu ciężko się zadłużył, to także figura jeszcze bardziej zagadkowa. W obec tych okoliczności osoba, o której mówimy, zakrawa mocno na jeden z owych licznych typów Bajronowskich, żyjących na świecie chyba tylko na to, ażeby popełniać same zbrodnie.

Co się zaś tyczy głównego bohatyra naszej powieści, Spiewaka z oazy, przyzna każdy, że więcej interesu obudziłby Selim, gdyby przez poetę postawionym był na pierwszym planie obrazu, aniżeli go budzi w takim stosunku rzeczywisty bohatyr. Jest to postać więcej bierna i służąca podobno na uzupełnienie tego, cośmy o Selimie powiedzieli: że są ludzie, których bez ich winy dosięga jakaś niewyjaśniona bliżej i nie dająca się łatwo wyjaśnić fatalność losu, której ulegają....

* * *

(C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

Drugi raz w młodzieńczym wieku byłem w fortecy, którą nieprzyjaciel bombardował. Pełniąc obowiązki oficera jeneralnego sztabu, obchodziłem mury forteczne bacząc czy wszystko jest w porządku. Bomby i granaty od czasu do czasu wzlatywały nad twierdzą i pękając rwały mury i pozbawiały życia żołnierzy stojących za wałami. Gdy przechodziłem około magazynu napełnionego bombami, granat świszcząc przeraźliwie wbił się w ziemię pokrywającą magazyn, pękł i zapalił w składzie znajdujące się bomby. Widząc że zginę, gdy pójdę dalej, rzuciłem się na ziemię twarzą i czekałem nim wszystkie bomby pękną. Huk i trask rozrywających się jedna po drugiej bomb, kamienie i ziemia wyrzucone w górę i padające na leżącego, pozbawiły mnie prawie przytomności. Niewiem wiele czasu tak leżałem na ziemi, lecz gdy już wszystko ucichło, wstałem zbity i potłuczony, lecz szczególnem szczęściem nie zraniony, i dowlokłem się do mieszkania. Moralnego stanu, w którym byłem, opisać nie jestem w stanie. Trząsłem się cały, nie mogłem słowa wymówić, źrenice miałem rozszerzone, wolę straciłem kompletnie, a tak stałem się drażliwym na najmniejszy stuk, że zrywałem się z miejsca chcąc uciekać, gdy kto drzwiami mocno uderzył. Szczęściem nieprzyjaciel przestał bombardować miasto, mogłem więc pozostać w domu dni kilka. Lecz drażliwość nerwowa trwała około dwóch miesięcy, czułem żem niezdolny do żadnego energicznego przedsięwzięcia. Haniebna myśl, czy nie jestem tchórzem, trapiła mnie okropnie. Zaledwo po dwóch miesiącach system nerwowy uspokoił się i odzyskałem dawną rzutność i zimną krew.

Lecz jak strach może pozbawić przytomności, nabawić bolu głowy, konwulsyj i wprawić w szaleństwo, tak też może wyleczyć nie jedną nerwową chorobę. Jaques, żuaw francuski, który lat kilka temu w Paryżu wyleczył tyle osób nerwowych, działał strachem, do czego bardzo się przyczyniała jego dzika, odrażająca twarz. Wezwany do chorej mającej spazmy lub nerwowe porażenie, wysyłał wszystkich z pokoju i zostawszy sam na sam z chorą, piorunującym głosem rozkazywał wstać z łóżka i przechadzać się po pokoju. Strach ogarniał chore i wstawały, a sława o cudownych uleczeniach żuawa obleciała całą Europę.

Raz na klinikę profesora Schützenberga w Strasburgu przyszła kobieta, która głos utraciła, prosząc o radę. Profesor zbadawszy chorą i przekonawszy się, że bezgłos pochodzi z nerwowego rozstroju, kazał jej poczekać w przedpokoju, a sam wróciwszy do sali wykładowej w bardzo ładnej lekcji wykazał wpływ moralnych czynników na organizm ludzki, zakończył zaś lekcję temi słowy: „Teraz wam pokażę na czem polega tajemnica cudownych uleczeń sławnego paryskiego żuawa; wprowadźcie chorą.“

Profesor przybrał minę groźną, wziął laskę w rękę i zbliżywszy się do niej rzekł:

— Jak się Pani nazywasz?

— Marja Klein — odpowiedziała szeptem chora.

— Jak! nie słyszę, proszę mówić głośniej.

— Marja Klein, powtórzyła ledwo słyszanym głosem.

— Nie słyszę, mów pani głośniej — wrzasnął profesor i stuknął mocno laską w ziemię.

Chora przeraziła się i zbladła. — Marja Klein, wyrzekła cokolwiek głośniej.

— Jeszcze głośniej bo niesłyszę—krzyknął, na nią profesor—czy pani języka nie masz w gębie?

— Marja Klein — wyrzekła chora, ale już wyraźniej i głośniej. Nogi pod nią drżały.

— Jeszcze raz i głośniej!

— Marja Klein — wymówiła biedna, ale już zupełnie naturalnym głosem.

— Teraz rachuj pani głośno: raz, dwa, trzy — do dwudziestu.

Chora nie rozumiejąc co chcą z nią zrobić, drżąc ze strachu zaczęła liczyć, a profesor tylko wołał: „głośniej i głośniej!“ Gdy chora zaczęła liczyć zupełnie naturalnym głosem, profesor zmienił ton i rzekł z ugrzecznieniem:

— Dobrze ... teraz może Pani iść do domu bo jesteś zupełnie zdrowa.

Chora przyszedłszy do siebie, naturalnym głosem podziękowała mu za uleczenie i wyszła

z kliniki uszczęśliwiona nie pojmując co się z nią stało i wychwalając sposób nadzwyczajny, za pomocą którego profesor wrócił jej mowę.

Po tym krótkim przeglądzie wpływów moralnych na fizyczny stan ciała naszego, musimy przejść do opisania nerwowych objawów w kilku chorobach, w których znajdziemy wszystko co magnetyzer wywołuje w jasnowidzących niby to pod wpływem tajemniczej siły wychodzącej z niego, i mogącej działać na ogromne przestrzenie z szybkością myśli.

Zaczniemy od histerji.

Objawy tej choroby są niezmiernie rozmaite pod względem formy, i występują zawsze jednocześnie z zaburzeniem czucia, ruchu i psychicznych zdolności. Raz przeważa jedna grupa objawów, drugi raz inna, lecz prawie zawsze drażliwość w pewnych częściach układu nerwowego, objaśniająca się zbytnią czułością i kurczami, wikła się z zupełną bezczułością i porażeniem w drugich. Choroba ta według teraźniejszego stanu nauki pochodzi od upośledzenia odżywiania mózgu i całego układu nerwowego w skutek niezbadanych jeszcze zmian materjalnych w pierwiastkach nerwowych. Prawie wyjątkowo obserwować ją można tylko u kobiet; dla tego też przyjęto uważać jako punkt jej wyjścia nerwy miejsc najdrażliwszych, chociaż powód do histerji może dać zboczenie w każdym innym narządzie: naprzykład długo trwała choroba żołądka. Lecz najczęściej, szczególnie u kobiet wykształconych histerja pochodzi od psychicznych. Codziennie widzimy, że wzruszenie powoduje zaczerwienienie policzków lub bladość ich, zmarszczki, wywołuje wydzielenie łez i śliny, że ludzie pod wpływem obaw lub wielkiego smutku i zgryzoty tracą czułość, a po zbytecznem wysileniu władz umysłowych rozwija się nierzadko wysoka drażliwość. Jeżeli więc te rozległe zaburzenia w dziedzinie nerwów mogą być wywołane przez działanie przemijających psychicznych wpływów, to trwałe moralne wzruszenie może wywołać stałe upośledzenie i zmiany w budowie układu nerwowego. Pod wpływem takich wrażeń zostaje naprzykład często kobieta, której los lub doznany zawód nie dozwolił wypełnić przeznaczenia żony i matki, dziewczyna, gdy rzeczywistość nie odpowiada marzeniom wyegzaltowanej wyobraźni. Lecz nastrój umysłowy, prowadzący do histerji, zależy nie tyle od zewnętrznych okoliczności i wydarzeń, ile od wyobrażenia o znaczeniu tych zewnętrznych wydarzeń. To samo zdarzenie, które na jednej żadnego wpływu nie wywrze, może dla innej stać się źródłem ciężkich i długotrwałych zmartwień.

Najczęstszą przyczyną histerycznych napadów jest nierozsądne wychowanie dzieci. Gdy rodzice nie przestrzegają, ażeby dzieci panowały nad sobą, gdy spełniają wszelkie ich zachcianki, pozwalają oddawać się ciężkiemu smutkowi, rozpaczy nad złamaną zabawką, wybuchać gniewem, tupać nogami, rzucać się na ziemię, gdy nie wprawiają dzieci do pilności, panowania nad sobą i sumienności, gdy dorastającym dziewczętom każą cały dzień zajmować się szyciem, haftowaniem i innemi robotami, przy których umysł niezajęty wpada w marzenia, gdy pozwalają dziewczęciu czytać niestosowne książki pobudzające umysł do egzaltacji, gotują napewno dzieciom swoim ciężkie choroby nerwowe w późniejszym wieku.

Niepodobna zrobić charakterystycznego obrazu histerji, a potrzeba rozpatrywać pojedyncze objawy. Najczęstszem zjawiskiem jest nadczułość, trwającą nieraz całe lata sama przez się bez przymieszki innych zboczeń. Niektóre chore mogą za pomocą dotykania rozeznać najmniejszą różnicę ciężaru, ciepła i jakości powierzchni, i na mocy tego rozpoznawać z zamkniętemi oczyma takie przedmioty, których ludzie zdrowi nie byli by w stanie poznać. Łatwo pojąć, że ta własność dla wielu osób zdaje się być cudowną i dla tego bywa nadużywaną dla oszukaństwa. „Sensytywy“ Reichenbacha najlepiej to potwierdzają. Inne mają tak doskonały węch, jaki tylko u zwierząt napotykamy: mogą one za pomocą węchu rozpoznać osoby i przedmioty. Inne mają taki słuch doskonały. iż poznają chód osoby bardzo oddalonej. Podobny stopień doskonałości może przedstawiać zmysł smaku i wzroku.

Jak objaśnić taką niezmierną czułość wzroku, słuchu i t. d.?

Sawart, znakomity fizyk francuski, zmarły w Paryżu w 1841 roku, wykazał za pomocą znanego przyrządu, że granica najniższych tonów, które ucho nasze może ułowić, znajduje się między 16 i 48.000 drgnień powietrza w sekundzie. Po za temi granicami wszelki dźwięk znika dla naszych zmysłów, jednak to nie znaczy, że dźwięki już nie istnieją po za temi granicami. Prawie wszystkie owady porozumiewają się dźwiękiem, lecz są takie, których dźwięku nie słyszymy, a jednak z objawów zewnętrznych, musimy przyjść do przekonania, że porozumienie się między niemi następuje w podobny sposób jak u innych stworzeń.

Toż samo ze wzrokiem. Wiemy, że w tęczy fioletowy kolor pochodzi od poruszeń falistych światła wynoszących 727 biljonów, a czerwony 458 biljonów na sekundę. Po za temi kolorami wzrok nasz już nie widzi światła, a jednak ono istnieje jeszcze. Jeżeli bowiem rzucimy rozłożony promień światła słonecznego na papier namoczony w roztworze chininy, lub w soku dzikiego kasztana, uda nam się przeczytać pismo napisane na tym papierze po za fioletowym i czerwonym kolorem, co zwykle jest niemożebnem, gdy papier nie jest przygotowanym w powyższy sposób. Wzrok więc normalny może w pewnych warunkach widzieć za granicami mu wytkniętemi. Nic przeto dziwnego, że oko histeryczki niezmiernie czułe na najmniejsze światło, może czytać pismo tam, gdzie dla zwykłego oka ciemność zupełna panuje. Tak należy objaśniać i nadczułość innych zmysłów.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

XI.

Mowa ptaków.

> La science n'est pas encore arrivée à un point de maturité suffisant pour permettre l'entreprendre une classification exacte et complète de toutes les langues qui existent.
>
> *Duponceau.*

> „Język gestów jest tak powszechnym i popularnym środkiem porozumiewania się, że nietylko znosi wszelką szrankę rozdzielającą narody, ale co więcej niszczy granicę postawioną między światem zwierzęcym a ludzkim.“
>
> *Wilhelm Wundt.*

„Gromada *ptaków* (Aves) bez wątpienia rozwinęła się z jednej płazów gałęzi.“ Budową wewnętrzną i zarodkowym swym rozwojem te dwie zwierząt gromady tak na pozór różne, w gruncie jednak rzeczy tak do siebie zbliżone, że prawdopodobieństwu tego twierdzenia wszystkich nowszych klasyfikatorów zaprzeczyć nie można. Zarodki ptaków w owej chwili, gdy już od zarodka ssaków różnią się znacznie, nie odróżniają się jeszcze od zarodka płazów. Pominąwszy wiele cech wspólnych budowie tych obu gromad zwierząt, jedną z najważniejszych kośćca przytoczymy. Podczas gdy u ssaków i skrzeków czaszka łączy się z pierwszym szyjowym kręgiem za pomocą dwóch kłykci (condyli) u ptaków i płazów kłykcie te w jeden się zlały. Tryjasowego perjodu (drugorzędnego okresu) *dzióbopłazy* (Anomodontia) stanowią prawdopodobnie przechodowy szczebel pomiędzy *pierwopłazami* a przypuszczalną formą rodową ptaków — *ptakopłazami* (Tocoruis) zwaną. Huxley i Häckel za nim *kanguropłaza* (Compsognathus), w jurajskich utworach Solenhofenu znalezionego, i bardzo podobnego do dziubopłazów za najbliższego krewnego ptakopłazów uważają. Najstarsze zaś resztki skamieniałe ptaków także w jurajskich górnych utworach znalezione zostały — w warstwach oolitycznych a ptak ten pierwszy po dziś dzień zwie się *Archeopteryx*. Ptaki, są ulubieńcami natury; to jej protegowane dzieci. Ludzie też wrodzoną czują sympatję, do tych małych istot skrzydlatych, olśniewających nas tak wdziękiem lekkich swych kształtów, jak wspaniałością upierzenia a nadewszystko szybkością lotu i melodyjnością śpiewu.

W budowie ptaka zadziwiająca jest doskonałość do warunków środka, w którym żyje, i do celów mających się osięgnąć wybornie zastosowaną. Jego kościec lekki, bo żyje w powietrzu, lżejszym więc być musi od ryb szkieletu, które w wodzie przebywają, i od kośćca ssących, chodzących po ziemi. Kości jego są próżne wewnątrz, a raczej powietrza pełne, powietrza w którem żyją, a które przenika całą jego budowę, które zasila go w oddychaniu najszybszem na ziemi. Bo nie ma zwierzęcia szybciej oddychającego od ptaka. Powietrze przeprowadza w nim życie aż do kończyn piór wspaniałej jego szaty, a on sam jak statek napowietrzny, jak balon, którym odważny areonauta przeszywa nadziemskie przestrzenie, tak on równoważąc się z płynną masą atmosfery, swobodnie szybuje po jej przestworzach. Między płucami a żałądkiem nie ma poprzecznej przepony (diaphragma), która u ssących odgraniczając od spodu płuca, zatrzymuje w piersiowej klatce westchnięte powietrze; brak ten przepony dozwala wypełnić powietrzu wszystkie próżnie, najmniejsze komórki, kości piór i mięśni. Ztąd też krew cieplejsza, płynniejsza jest ptaka pod wpływem tlenu, niż u innych mieszkańców globu, więcej pobudzająca, nadaje ruchom organizmu tę zręczność i lekkość, tę szybkość błyskawicy, która nas w zachwyt wprowadza; ztąd także wynika rozciągłość, czystość, donioslość i brzmienie jego głosu.

Lecz nie wszystkie ptaki i lot mają błyskawicy i głos dźwięczny, melodyjny. Są takie, których budowa skrzydeł do spadania tylko z wysokości na ziemię pozwala, — skrzydeł, które rolę spadochronu tylko mają, np. u *kur naszych domowych* (gallus domesticus), *strusia* (struthio camelus) i wszystkich *biegusów* (Cursores). Są ptaki, które zupełnie skrzydeł nie mają, lecz w miejsce ich coś nakształt płetw u ryby, na których ani lotek ani pokryw nie ma np: u *bezlotka wiel-*

kiego (Aptenodytes patagonica). A i z głosem to samo się dzieje. Czyż to raz wśród nocnej ciszy, z zwalisk starego domostwa jakiś głos żałośny, jakiś jęk twych uszu dochodził... Głos wyraźnie ciebie wzywający „pójdź pójdź!“ jakby nieszczęśliwy jakiś pustelnik pomocy wzywał ludzkiej! Lecz przysłuchaj się lepiej a rozpoznasz smutny i monotonny śpiew ptaka. To *puszczyk*: *sowa, sówka* (strix noctua), ten znany u przesądnego ludu zwiastun śmierci, zwykłą a w swem przekonaniu prawdopodobnie wcale nie żałośną wygłasza melodję. Jeżeliś przesądny, bujnej wyobraźni, jeżeli wierzysz w nadprzyrodzony, cudowny stosunek głosu nocnego tego ptaka z nicią swojego życia — to uciekaj, już wiara bowiem sama może szkodliwy wpływ na wrażliwy twój organizm wywrzeć. Jeżeli zaś ciekawszy jesteś niż bojaźliwy, idź przyjrzyj się temu skrzydlatemu ciemności nocnych mieszkańcowi. Nie zbliżaj się jednak doń zbytnio. Jego wielkie stosunkowo oczy, świecące w ciemności jak dwa węgle żarzące, jak kota oczy, już cię dostrzegły; on na najmniejszy szelest, choćby najcichszego zbliżania się, w jednem oka mgnieniu wznosi się wysoko i już go ręka a nawet strzał nie dosięgnie. Z wierzchu brunatno-popielaty w białe upstrzony plamki, pierś biała a brzuch czerwonawy w brunatne punkty ubrany — nocny ptak ten jak wszystkie *sowy krótkoogonowe* (puszczyki), posiada na czole dwa strzępki piór, któremi dowolnie poruszać może, muszle ucha od dzióba do skroni, a nogi obrosłe do włosów podobnemi delikatnemi piórkami. Nie dziwimy się nieprzyjemnemu jego głosowi; żaden z *drapieżnych ptaków* (rapaces) nie odznacza się dźwięcznym, melodyjnym spiewem, zresztą piękność przyrody nie zasadza się tylko na roztoczeniu przed naszemi zmysłami bogactwa strojów, przepychu ich, dźwięczności i melodji głosu zwierząt, i w ogóle tej tylko strony, która dla oka, dla ucha itp. czarującą uroczystość, świetne widowisko przedstawia. Piękność jej i wspaniałość to bogactwo inne, bogactwo, czyli wielość zjawisk kształtów, ich harmonja i doskonała odpowiedniość! Lecz z drugiej znowu strony pamiętajmy, że czy to słowik, gdy rozwija nioporównane dźwięki swojego prześlicznego głosu, gdy go miłość do ulubionej samiczki rozognia, czy kruk (corvus corax) zwietrzywszy ścierwo padłego gdzieś zwierza, ochrypłym swym głosem przeraźliwe wydaje krzyki, czy *gołąb* (columba), gdy grucha i jakby z głębi wnętrzności przytłumionym głosem się odzywa, lub *kogut* (gallus) ten sułtan despotyczny dla swych pierzastych niewolnic, rozkazującym dumnie głosem przymusza samice do ulegania swej woli — wszyscy oni rozumieni bywają i to nie tylko przez swych współbraci, lecz i niekiedy przez człowieka pilnie śledzącego dłuższy czas za tą ich rozmową, boć przebiegły przecie myśliwy podstępem tej ostatniej naśladowaniem, oszukanego nieboraka do niewoli bierze. Tak jest; nietylko ludzie, lecz i zwierzęta i ptaki obdarzone są mową, a choć ona nie artykułowana, nie składa się z długich zdań i okresów, to jednak zrozumiała a wdzięku pełna i ciekawa!

Wszak z bajek wiemy, że za czasów Ezopa zwierzęta gadały, a w księdze Rodzaju czytamy że „cała ziemia jednakie miała usta.“ Snadź wtenczas człowiek bliższym był przyrody, snadź pilniej uważał i badał jej żywe głosy i do własnego zastosowywał życia, snadź w onczas i człowiek używał języka nie takiego jak dzisiaj, a kiedy usta były jednakie, to i on musiał gadać językiem uczuć nie pojęć, językiem znaków, krzyków i poruszeń, rozumiał ten język i nawzajem był rozumianym. Dziś, gdy go zaniedbał, a raczej udoskonalił, gdy się oddalił od pierwotnego swych praojców stanu, od przyrody przez to, i z nią mniej mając stosunków codziennych — i mniej jest rozumianym, i sam mniej głos natury rozumie. I zaiste dziś nie mniej ma ptak trudności w udzieleniu nam swoich wrażeń, niż my gdy jemu swoich chcemy udzielić, a jeżeli ośmielamy się sądzić, że ptak to istota głupia, bezrozumna, lub choć tylko mało inteligentna dla tego, że nas zrozumieć nie umie, to co ptak o nas myśleć ma prawo, gdy my jego języka tak prostego i naturalnego pojęć nie potrafimy?

Jeżeliś kiedy piękna i szanowna czytelniczko przyglądała się młodym kurczętom — o czem nie wątpię, toś z pewnością zauważyła, że starej ich matki kwokania nie zawsze są jednakowe, że inaczej woła ona na swe dziatki, gdy chce, by się tuliły pod jej skrzydła, inaczej do pokarmu, inaczej przed grożącem niebezpieczeństwem np. przed *jastrzębiem* (Falco palumbarius) lub *krogulcem* (F. nisus); jeżeliś *jaskółce* (hirundo) w gnieździe świergocącej się przysłuchiwała, to pewno o muzykalne twe uszko odbił się prawdziwy język — rozmowy matki z potomstwem. Wszak głos jednostajny wróbla — to nie śpiew, to nudne piskliwe odzywanie się na jedną nutę, lecz niechaj miłość go natchnie poezją, niech się ubiegać pocznie o narzeczonej względy, posłuchaj go wtedy, a artysty mu miano przyznasz! Wszak i słowik, ten Orfeusz naszych gajów i ogrodów, skończywszy konkury i perjod zalotów do swojej młodej małżonki, innym a nawet nieprzyjemnym, syczącym głosem się odzywa. Pod uczucia, pod miłości wpływem, każdy z ptaków śpiewających najtrudniejsze arje wykonywa, wiedząc, że chcąc przekonać, wymownym być trzeba. Stosunki towarzyskie, a nadewszystko między płciami, bez zaprzeczenia matką są mowy — języka ptaków. Ponieważ zaś miłość początkiem jest wszelkich stosunków towarzyskich w przyrodzie, jej więc musimy to szczytne miano rodzicielki mowy przypisać, a kobietom główną przyczynę cywilizacji ludzkiego społeczeństwa. Dla tego to ptaki samotne, jak drapieżne, nie mają daru tak rozległej mowy — śpiewu, jak towarzyskie; ich mowa polega li na kilku dzikich i przeraźliwych krzykach, na kilku dla potrzeb ich wystarczających odgłosach.

Z wiosną w naturze i z wiosną życia ptaka, on zupełnie jak człowiek zaczyna żyć inaczej. W rozkwicie swojego żywota, w pośród wonnej i pełnej poezji przyrody, sam pokryty nowym płaszczem, zdobnym zwykle najpiękniejszemi barwami, wobec odnawiającego się życia w całej przyrodzie i on przejmuje się uczuciem — śpiewa, wesoło skrzydełkami trzepoce, rozmawia, a w końcu kocha! Z wysokich sfer mieszkańca chce na ziemskiego się zmienić, chce zbliżyć się z żywą przyrodą, chce ją lepiej poznać i widokiem jej się napawać! Szczęśliwy, bez troski, opływając w potrzeby materjalne, nie mając jeszcze obowiązków żadnych, nie zaznał ich ciężaru, nie poznał ich przyjemności, i swobodnie z gałązki na gałązkę, z drzewa na drzewo przelatuje, szukając samiczki, by przed nią roztoczyć przepych swego upierzenia, by ją rozmarzyć wdziękiem swoich kształtów, rozczulić dźwiękiem swojego głosu, upoić nim. Kokietuje, by się podobać, pokochać i nawzajem być kochanym, by gniazdo założyć, wspólne, familijne! Wtedy to posłuchajmy tych wesołych, melodyjnych, to znów smętnych jakby rozpaczliwych pieni, płynących z płonącego żarem miłości małego serduszka tych piewców. Lecz na cóż mam wysilać się próżno na opisanie tego, czego żadne nie jest wstanie oddać pióro, na co, gdy każdy z nas uniesiony wdziękami wiosny prawdopodobnie nie raz zachwycał się tym koncertem w przyrodzie? Któż z nas nie odbył majówki choć jednej w życiu i rano, gdy promieniste słońce różowym blaskiem na wschodzie zabłysło, nie przysłuchiwał się ptaków porannej modlitwie, głoszonej wśród lasu z roskoszną harmonją. Ten hymn wspaniały, którego żadna ludzka nigdy nie wykona orkiestra, ten hymn natury, którego każda strofa inna — to dzieło ptaków, to ich rozmowa, wesoła pieśń dzień witająca! I nie nazwiesz że czytelniku tego mową, gdy się w ten sposób uczucia wyrażają?! A wieczorem, gdy słońce ku zachodowi się schyla, natura do snu się układa i milcząca cisza nocy ma nastąpić! Gdy ostatni szmer wiatru ucicha, idź do gaju, lub wielkiego ogrodu na wsi, posłuchaj tej z tysiąców głosów złożonej kapeli, tej wielkiej, żałośnej a jednak łagodnej melodji — żegnania uroczystego ostatnich dnia promieni, a zrozumiesz ją pewno! Chcąc jednak pojedynczego ptaka poznać mowę i ją umieć zrozumieć, trzeba być doświadczonym i nie dorywczo przysłuchiwać się takowej, lecz systematycznie i umiejętnie ją badać. Dupont utrzymuje, że w jednakich okolicznościach powtarzane te same dźwięki stały się skutkiem natury i nawyknienia z pewnością niezmiennym wyrazem ich uczuć, a Toussenel, że najpojętniejsze ptaki najlepiej śpiewają, z wielkiej mnogości tonów stosownie do potrzeb wybierając, jedne z nich stanowią stałemi, niezmiennemi dla oznaczenia przyjemnych uczuć, inne dla wyrażenia nieprzyjemnych, inne dla odmalowania strachu, inne zazdrości i t. p. Gall umieścił słowika w klatce, który nigdy głosu swych współbraci nie słyszał, a ptak ten pomimo zupełnego odosobnienia śpiewał jak inne, przez co dał nam powód twierdzenia, że mowa ptaków jest im od urodzenia właściwą, że jest wrodzoną, instynktową czynnością, lecz nie ulega wątpliwości, iż mogą ją także nabyć. Wróbel (pyrgitta domestica), zamknięty z czyżykiem naszych górzystych szpilkowych lasów (fringilla spinus), lub *czeczotką* (fr. linaria) ich pienia przejmuje, a jeżeli uczonego tego wróbla później ze *szczygłem* (fring. carduclis) trzymać zechcemy, to melodja jego tych trzech artystów będzie naśladowaniem. A to wszystko li nam dowodzi, że śpiew ptaków jest mową, właściwą ich budowie, obyczajom i życiu, że posiadają ją one wrodzoną, lecz i nabytą w skutek wychowania lub pojętności.

PTAKI

Wiersz poświęcony P. Arnault, jadącemu na wygnanie 1816 r.

Przez

BÉRANGER'A.

Zima pustoszy pola i lasy,
Odarte gaje z wiosennej krasy,
A ptactwo w inne poniosło strony,
Swych śpiewów dźwięczne i głośne tony.
Cisza innego jednak ustronia
Nie zmieni ptactwa wierności —
Gdy zazielenią znowu te błonia
Powrócą no naszych włości.

Na to wygnanie los je skazuje,
Tę klęskę silniej każdy z nas czuje!
Parki pałaców — biedne poddasze,
Rozweselało to ptactwo nasze.
Lecz w spokojniejsze lećcie wy kraje
Zachwycać szczęsnych mieszkańców!
Gdy zieleń nasze ozdobi gaje
Ujrzymy znów tych wygnańców.

My ptactwo, do tej przykute ziemi
Pragniemy także lecieć za niemi!
Nie jedna groźna zbiera się chmura,
Północna strona taka ponura...
Szczęśliw kto może skrzydła rozwinąć
Na chwilę rzucić te sioła;
I jak to ptactwo znów tu przypłynąć,
Gdy wiosna będzie dokoła.

O naszym smutku, naszej żałobie,
W swojem tułactwie pamiętać będą,
Zanim znów kiedyś w pomyślnej dobie
Na znanym starym dębie usiędą —
By wieścić stalszej pogody czasy,
W żyznej dolinie zanucą —
Gdy zazielenią z wiosną te lasy,
Ci piewcy do nas powrócą!

Wenecja dnia 2 marca 1875 r.

Janina.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XX.

(Ciąg dalszy.)

(Noc na morzu. — Przystań Rekinowa. — Zwierzenia. — Przygotowania na zimę. — Wczesna zima. — Wielkie mrozy. — Roboty wewnętrzne. — Po sześciu miesiącach. —. Klisz fotograficzny. — Wypadek niespodziewany.)

Stało się tak, jak przepowiadział; Pencroff przewidywania jego nie mogły go omylić. Wiatr stał się ostrzejszym i ze średniego prądu przeszedł w gwałtowny wicher, czyli osiągnął chyżość czterdziestu do czterdziestu pięciu mil na godzinę*) a okręt płynący na pełnem morzu musiałby był zwinąć wszystkie żagle i zniżyć t. z. rej na bociana gnieździe. Ponieważ *Bonawentura* dopiero około godziny szóstej zbliżył się do przystani, a odpływ morza czuć się już dawał, niepodobna więc było wpłynąć do środka. Konieczność więc nakazywała trzymać się na pełnem morzu, Pencroff bowiem, choćby był nawet chciał, nie byłby był w stanie dotrzeć do ujścia Dziękczynnej. Rozpiąwszy zatem na wielkim maszcie trójkątny żagiel, miasto żagla używany zwykle podczas nawalnic, czekał spokojnie, zwracając się przodem statku ku lądowi.

Na szczęście, pomimo że wicher był bardzo gwałtowny, morze zakryte brzegami, nie było zbyt wzburzone. Nie obawiano się więc uderzenia wielkich bałwanów, od których małym statkom grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nie zdołałyby one były zapewne przewalić na bok *Bonawenturę*, który dobry posiadał balast, niemniej jednak wielkie masy wody, zalewając pokład, mogłyby były zagrażać okrętowi, gdyby ściany nie stawiały należytego oporu. Pencroff, jako zręczny marynarz, gotów był na wszelkie przypadki. Prawda, że pokładał niezmierną ufność w swój statek, mimoto jednak z pewnym niepokojem oczekiwał dnia.

Przez całą noc Gedeonowi Spilettowi i Cyrusowi Smithowi nie nastręczała się sposobność do rozmowy, a jednak słowa, które inżynier szepnął był do ucha korespondentowi, zasługiwały, aby zastanowić się raz jeszcze nad tą tajemniczą mocą, która zdawała się władać na wyspie Lincolna. Gedeon Spilett przemyśliwał nieustannie nad tym nowym, niewytłumaczonym wypadkiem, nad tym ogniem, który pojawił się był na brzegach wyspy. Wszak on go widział wyraźnie! Towarzysz jego, Harbert i Pencroff, widzieli go także! Ogień ten dopomógł im rozeznać położenie wyspy onej ciemnej nocy, nie mogli wątpić o tem, że go zapalił inżynier, a tymczasem Cyrus Smith oświadczył teraz wyraźnie, że nic podobnego nie uczynił!

Gedeon Spilett postanowił, za powrotem do domu, raz jeszcze zagadnąć inżyniera o ten fakt, i skłonić go do uwiadomienia towarzyszów o tych dziwnych zdarzeniach. Może zdecydowanoby się wówczas na wspólne zwidzenie i zbadanie wszystkich części wyspy Lincolna.

Bądź co bądź tego wieczora nie pojawił się żaden ogień na tych wybrzeżach, nieznanych dotąd, tworzących wstęp do przystani, i statek całą noc pozostał na pełnem morzu.

Skoro pierwsze błyski jutrzenki zaświtały na wschodzie, wiatr, który tymczasem powoli się uspokoił, zmienił w dwóch czwartych kierunek, co ułatwiło Pencroffowi prześliznąć się przez wąski przesmyk, stanowiący wjazd do przystani. Około godziny siódmej nad ranem, *Bonawentura*, niesiony zrazu ku północnemu przylądkowi Szczęk, wśliznął się ostożnie w przesmyk i wypłynął na wody przystani, okolone dokoła dziwacznem ocembrowaniem z zastygłej lawy.

— Oto mi kawałeczek morza jakby stworzony na wyśmienitą przystań, rzekł Pencroff. Całe floty mogłyby tu sobie bujać swobodnie!

— Co najdziwniejsza, zauważył Cyrus Smith, to że przystań tę utworzyły dwa potoki lawy, które wulkan wyrzucił, a które wzrastały przez kolejne wybuchy. Z tego wynika, że przystań ta ze wszystkich stron jest osłonioną, i zdaje się, że nawet podczas najgwałtowniejszych burz, morze jest tu tak spokojne, jak jezioro.

— Bez wątpienia, odparł marynarz, wiatr może się tu wcisnąć tylko przez ową wąską szyję pomiędzy oboma przylądkami, a prócz tego przylądek północny zasłania całkiem południowy, w skutek czego utrudniony mają doń przystęp wiatry nadbrzeżne. Doprawdy, *Bonawentura* nasz mógłby tu odpoczywać sobie cały rok, nie potrzebując zapuszczać kotwicy!

— Byłoby mu tu trochę za obszernie! zauważył korespondent.

— Ba! Mości Spilett, odparł marynarz, przyznaję, że jemu byłoby tu za obszernie, ale jeśliby floty Zjednoczonych Stanów potrzebowały bezpiecznego schronienia na Cichym Oceanie, nie znalazłyby pewnie lepszej, jak ta przystań!

— Znajdujemy się w paszczy rekina, zauważył Nab, robiąc alluzję do kształtu przystani.

— W samej paszczy, mój poczciwy Nabie! odparł Harbert, lecz nie boisz się przecież, aby nas pożarła?

— Wcale nie, panie Harbercie, odparł Nab, a jednak ta przystań nie bardzo mi się podoba.. Ma jakąś minę niedobrą!

— Dobryś! zawołał Pencroff, Nab mi obmawia moją przystań w chwili, kiedy ja przemyśliwam nad tem, aby złożyć ją w dani całej Ameryce!

— Lecz czy przynajmniej woda jest tu dosyć głęboką? zapytał inżynier, bo co wystarczy naszemu *Bonawenturze*, nie wystarczyłoby może naszym pancernikom.

— Łatwo się o tem przekonać, odparł Pencroff.

I marynarz zapuścił w głąb długi sznur z kawałkiem żelaza na końcu, który mu służył za sondę. Sznur ten liczył około pięćdziesięciu sążni długości i rozwinął się aż do końca, nie napotkawszy dna.

— Brawo, rzekł Pencroff, niech tu przyjdą nasze pancerniki, a pewnie nie osiądą na mieliźnie!

— W samej rzeczy, to istna przepaść, rzekł Cyrus Smith; ze względu jednak na pochodzenie wulkaniczne wyspy, nie dziw wcale, że dno morskie posiada takie zagłębienia.

— Zdawałoby się także, zauważył Harbert, że te ściany ktoś kilofem pościnał, i jestem pewny, że u stóp ich, nawet pięć i sześć razy tak długą sondą Pencroff nie dotarłby do dna.

— Wszystko to dobrze, ozwał się na to korespondent, muszę jednak zrobić Pencroffowi uwagę, że brakuje jednej nader ważnej rzeczy jego przystani!

— Jakiejże to panie Spilecie?

— Jakiegoś wcięcia lub rowu, którym by się dostać można w głąb wyspy. Nie widzę nigdzie punktu takiego, na którymby można oprzeć nogę!

W istocie wśród stromych stoków lawy, na całym obwodzie przystani, nie było jednego miejsca sposobnego do wylądowania. Była to jakby jedna nieprzebyta ściana, przypominająca *fiordy* norwegskie, lecz jeszcze bardziej naga i jałowa. *Bonawentura* opłynął dokoła tę ścianę, tak blisko, że ją prawie dotykał, lecz nigdzie nie odkryto najmniejszego wyskoku, na którymby pasażerowie mogli wylądować.

Pencroff pocieszał się, twierdząc, że w razie potrzeby możnaby za pomocą miny wydrążyć tę ścianę, a ponieważ nie było co dłużej robić w tej przystani, skierował więc statek ku szyi, i wypłynął znów na morze około godziny drugiej z południa.

— Uff! odsapnął Nab z wyrazem szczerego zadowolenia.

Zdawało się rzeczywiście, że poczciwemu murzynowi niesamowicie było w tej olbrzymiej paszczy!

Od przylądka Obu Szczęk do ujścia Dziękczynnej nie było więcej jak ośm mil.

Statek płynął wprost ku Pałacowi Granitowemu, wzdłuż brzegów, w jednomilowem oddaleniu. Po olbrzymich skałach z lawy nastąpiły wkrótce owe dziwaczne wydmy piaszczyste, wśród których Cyrus Smith tak cudownym sposobem został odnalezionym, a w których gościło setkami morskie ptactwo.

Około godziny czwartej Pencroff, zostawiając na lewo róg wysepki, wpłynął do kanału dzielącego ją od wyspy, i o godzinie piątej wrył się *Bonawentura* kotwicą w piasek u ujścia Dziękczynnej.

Trzy dni właśnie było minęło, jak osadnicy opuścili swą zagrodę. Ayrton oczekiwał ich na brzegu, a pan Jow wyszedł na przeciwko nich, mrucząc radośnie na powitanie.

Tak więc zwidzono wybrzeża całej wyspy, nie odkrywszy nigdzie żadnych podejrzanych zna-

---

*) około 106 kilometrów na godzinę. *Przyp. aut.*

ków. Jeśli więc mieszkała na niej jaka istota tajemnicza, to chyba w owych nieprzybytych puszczach półwyspu Wężowego, gdzie jeszcze dotąd nie postała noga osadników.

Gedeon Spilett rozprawiał o tych rzeczach z inżynierem, i postanowili zwrócić uwagę towarzyszów na owe dziwne fakta, które się wydarzyły były na wyspie, a z których ostatni najbardziej był zagadkowym.

Cyrus Smith, wracając raz jeszcze do owego ognia, który zapaliła była nieznajoma jakaś ręka, po raz dwudziesty już może zapytywał korespondenta:

— Czy jesteś więc pewnym tego, żeś widział ów ogień? Może to był jaki częściowy wybuch wulkanu, lub jaki meteor?

— Nie, Cyrusie, odparł korespondent, był to z pewnością ogień zapalony ludzką ręką. Zresztą zapytaj Pencroffa i Harberta. Oni to samo co ja, widzieli, i potwierdzą moje słowa.

Wskutek tego, w kilka dni później, dnia 25. kwietnia, wieczorem, gdy wszyscy osadnicy zgromadzeni byli na Wielkiej Terasie, Cyrus Smith zabrał głos i odezwał się w te słowa:

— Przyjaciele, czuję się w obowiązku zwrócić uwagę waszą na niektóre wypadki zaszłe na naszej wyspie, o których radbym zasięgnąć waszego zdania. Wypadki te są, że się tak wyrażę, nadprzyrodzone...

— Nadprzyrodzone! zawołał marynarz, puszczając z fajki kłąb dymu. To może wyspa nasza jest także nadprzyrodzoną?

— Nie, Pencroffie, ale z pewnością tajemniczą, odparł inżynier, chybabyś ty potrafił nam wytłumaczyć to, czego ani ja, ani Spilett dotychczas nie potrafiliśmy pojąć.

— Mów pan, panie Cyrusie, odparł marynarz.

— Dobrze więc! Czy wiesz, ciągnął dalej inżynier, jakim sposobem, wpadłszy do morza, znaleziony zostałem o cztery mile w głąb wyspy, nie wiedząc sam, jak się tam dostałem?

— Może, w stanie nieprzytomnym... rzekł Pencroff.

— Nie, to się w żaden sposób nie da przypuścić, odparł inżynier. Idźmy dalej. Czy wiesz jakim sposobem zdołał Top odszukać wasze schronienie, pięć mil od pieczary, w której leżałem?

— Wrodzony instynkt psa... odparł Harbert.

— Osobliwy instynkt! rzekł korespondent, kiedy pomimo deszczu i wichru, jaki szalał owej nocy, Top przybył do „dymników“ całkiem suchy i niezabłocony!

— Idźmy dalej, rzekł inżynier. Czy rozumiesz jakim sposobem pies nasz wyrzucony został z wody, po owej walce w jeziorze z dugongiem?

— Nie, nie bardzo, przyznaję, odparł Pencroff, — a ową ranę, którą dugong miał w boku, a która zdawała się pochodzić od ostrego jakiegoś narzędzia, także trudno wytłumaczyć.

— Idźmy jeszcze dalej, rzekł Cyrus Smith. Czyście zrozumieli, przyjaciele, jakim sposobem znalazło się owo ziarno śrótu w młodym pekarysie; jakim sposobem skrzynia tak szczęśliwie wyrzuconą została na brzeg, pomimo że nigdzie śladu nie było, aby się okręt jaki rozbił; jakim sposobem butelka zawierająca dokument, przy pierwszej naszej wycieczce na morze, nadpłynęła ku nam jakby na zawołanie; jakim sposobem czółno nasze, urwawszy cumę, przypędziło samo z prądem rzeki, właśnie w chwili, gdyśmy go potrzebowali; jakim sposobem, przy napadzie małp, drabina tak szczęśliwie zsunęła się na dół z okna Pałacu Granitowego; jakim sposobem wreszcie dokument, którego Ayrton, jak twierdzi, nigdy nie pisał, dostał się w nasze ręce?

Cyrus Smith wyliczył wszystkie zadziwiające zdarzenia, jakie zaszły były na wyspie, nie przepomniawszy żadnego. Harbert, Pencroff i Nab patrzyli po sobie nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, a szereg tych wypadków po raz pierwszy w ten sposób zestawionych, wprawił ich w największe zdumienie.

— Na honor! rzekł wreszcie Pencroff, masz pan słuszność, panie Cyrusie, trudno wytłumaczyć to wszystko.

— Otóż, przyjaciele moi, ciągnął dalej inżynier, do tych wypadków przyłączył się teraz nowy, równie niepojęty, jak tamte!

— Jakiż to wypadek, panie Cyrusie? zapytał żywo Harbert.

— Powiadasz, Pencroffie, ciągnął dalej inżynier, że gdyście wracali z wyspy Tabor, ujrzeliście ogień na wyspie Lincolna?

— Nie inaczej, odparł marynarz.

— Czy jesteś tego pewny, żeś widział ów ogień?

— Tak, jak pana widzę.

— I ty także, Harbercie?

— Ach! panie Cyrusie, zawołał Harbert, ogień ten jaśniał jak gwiazda pierwszorzędna!

— A może to w istocie była gwiazda? zapytał inżynier.

— Nie, odparł Pencroff, całe niebo bowiem pokryte było gęstemi chmurami, a w każdym razie, gwiazda nie wisiałaby tak nisko na widnokręgu. Przecież pan Spilett widział to samo, co my, może więc potwierdzić nasze słowa!

— Ja dodam, rzekł korespondent, że ogień ten jaśniał bardzo żywo i ciskał niby strugę światła elektrycznego.

— Tak! tak! zupełnie tak samo... odparł Harbert, i świecił z pewnością z wyżyny Pałacu Granitowego.

— Otóż, przyjaciele moi, odparł Cyrus, owej nocy z 19. na 20 października, ani ja, ani Nab, nie zapalaliśmy żadnego ognia na wyspie.

— Jakto? nie zapalaliście... zawołał Pencroff w najwyższem osłupieniu, które nie dało mu nawet dokończyć frazesu.

— Nie wychodziliśmy wcale z Pałacu Granitowego, odparł Cyrus Smith, a jeśli rzeczywiście ogień pojawił się na wyspie, to zapaliła go nie nasza, lecz inna jakaś ręka!

Pencroff, Harbert i Nab stali osłupieni. Złudzenie było niemożliwe, ogień prawdziwy i rzeczywisty uderzył ich wzrok owej nocy z 19 na 20 października!

Tak! musieli zgodzić się na to, że istniała tu jakaś tajemnica! Jakaś moc niewytłumaczona widocznie sprzyjająca osadnikom, lecz mocno drażniąca ich ciekawość, dawała się czuć na wyspie Lincolna, każdym razem jakby na zawołanie. Czyż-by w najgłębszych tajnikach wyspy ukrywać się miała jaka istota? O tem bądź co bądź należało się koniecznie przekonać!

Cyrus Smith przypomniał zarazem towarzyszom swoim, z jakim dziwnym niepokojem Top i Jow krążyli dokoła otworu studni łączącej Pałac Granitowy z morzem, i oznajmił im, że badał tę studnię, nie odkrywszy w niej jednak nic podejrzanego. Rezultatem tej rozmowy była uchwała powzięta przez wszystkich członków osady, ażeby za powrotem wiosny przeszukać i przetrząść całą wyspę, aż do najskrytszych jej zakątków.

Od tego dnia jednak Pencroff zdawał się niespokojnym. Zdawało mu się, że wyspa ta, którą uważał za swą osobistą własność, nie należała już odtąd całkowicie do niego, i że panowanie nad nią podzielił z nim władca, którego chcąc nie chcąc czuł się podwładnym. Niejednokrotnie rozprawiali z Nabem o tych wszystkich zdarzeniach, a będąc obaj z usposobienia już swego skłonni do wiary w rzeczy cudowne, przekonani byli prawie, że wyspa Lincolna zostaje pod wpływem potęg nadprzyrodzonych.

Tymczasem razem z miesiącem majem — któremu w strefach północnych odpowiada listopad — nadeszły dni słotne. Wszystko zapowiadało zimę ostrą i wczesną. To też niezwłocznie rozpoczęto roboty przygotowawcze na zimę.

Zresztą osadnicy nasi przygotowani byli na zimę, chociażby najostrzejszą. Nie brakowało im odzieży pilśniowej, a barany, podówczas bardzo rozmnożone, dostarczyły obficie wełny potrzebnej do wyrobu tych ciepłych materyj.

Ayrtona zaopatrzono oczywiście także w wygodną i ciepłą odzież. Cyrus Smith zaproponował mu, ażeby zimę spędził razem z nimi w Pałacu Granitowym, gdzie mu będzie lepiej niż w oborze, i Ayrton przyrzekł uczynić to, skoro tylko pokończy ostatnie roboty w oborze. Stało się to w połowie kwietnia. Odtąd żył Ayrton wspólnie z osadnikami i przy każdej sposobności okazywał się użytecznym; lecz zawsze był potulny i smutny, i nie brał udziału w zabawach swoich towarzyszów.

Większą część tej trzeciej z kolei zimy, którą osadnicy spędzali na wyspie Lincolna, przesiedzieli zamknięci w Pałacu Granitowym. Cały czas szalały burze i wichry staszliwe, które zdawały się wstrząsać skały w ich posadach. Morze zagrażało potopem całej wyspie, i niezawodnie okręt, któryby stał był kotwicą w pobliżu lądu, zginąłby był wraz z całym ładunkiem i załogą. Po dwakroć, podczas jednej z tych nawalnic, wezbrała Dziękczynna do tego stopnia, że obawiano się, by nie pozrywała mostów, a nawet trzeba było wzmocnić mosty na wybrzeżu, które zalewała woda zupełnie, gdy morze biło o brzegi.

Łatwo się domyśleć, że te straszliwe orkany, podobne do trąb powietrznych, zmięszane z deszczem i śniegiem, niemałe szkody sprawiły na Wielkiej Terasie. Najbardziej ucierpiały młyn i chlewy na drób. Osadnicy musieli często przedsiębrać najpilniejsze naprawy, inaczej bowiem drób byłby był narażonym na zagładę.

Podczas tych słot, kilka par jaguarów i gromady małp zapędziły się aż po same granice Terasy, i ciągle trzeba się było obawiać, ażeby zwinniejsze i śmielsze z nich, pędzone głodem, nie przeszły przez potok, który zwłaszcza wtedy, gdy był zamarznięty, łatwy nastręczał im przystęp. Gdyby nie straż ustawiczna, plantacje i zwierzęta domowe uległyby były niechybnej zagładzie, i nieraz trzeba było dawać ognia, aby utrzymać w przyzwoitem oddaleniu tych niebezpiecznych gości. To też nie brakowało zatrudnienia naszym osadnikom, oprócz bowiem zajęć po za domem, nastręczały się zawsze tysiączne roboty w samym Pałacu Granitowym.

Podczas wielkich mrozów urządzono także kilka pięknych polowań na wielkich bagnach Tadornskich. Gedeon Spilett z Harbertem, przy

pomocy Jowa i Topa, wśród tych kroci kaczek, bekasów, cyranek, krzyków i czajek, nie dali żadnego strzału na wiatr. Przystęp do tych miejsc, tak pełnych zwierzyny, był łatwy, bądź to drogą Balonową, przeszedłszy most na Dziękczynnej, bądź też okrążając do koła skały przylądka Rozbitków, i myśliwi nie oddalali się od Pałacu Granitowego nigdy więcej, jak na dwie lub trzy mile.

Tak upłynęły cztery miesiące zimowe, istotnie ostre, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. W ogóle jednak Pałac Granitowy nie wiele ucierpiał od tych słot, podobnie i obora, która mniej wystawiona od terasy, a w znacznej części zakryta górą Franklina, wytrzymywała tylko ostatnie pociski wichru, którego prąd łamał się poprzednio o lasy i wysokie skały nadbrzeżne. Szkody nie były więc znaczne, a zręczna i czynna ręka Ayrtona naprawiła je wkrótce, gdy w drugiej połowie października powrócił był na kilka dni do obory.

W czasie zimy nie zaszedł żaden nowy szczególniejszy wypadek. Nie zdarzyło się nic zagadkowego, pomimo że Pencroff z Nabem chwytali chciwie każde najmniej znaczące zdarzenie, ażeby je przypisać jakieś tajemniczej przyczynie. Nawet Top z Jowem nie biegali więcej dokoła studni i nie zdradzali żadnego niepokoju. Zdawało się zatem, że szereg nadprzyrodzonych wypadków został przerwanym, chociaż często rozmawiano o nich wieczorami w Pałacu Granitowym, i utwierdzano się w postanowieniu przeszukania całej wyspy do najskrytszych i najniedostępniejszych jej zakamarków. Na chwilę jednak zdarzenie największej wagi, zdolne pociągnąć za sobą najsmutniejsze następstwa, odwiodło Cyrusa Smitha i jego towarzyszy od ich zamiarów.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybkiemi krokami. Natura odżywała pod wpływem promieni słonecznych, a między wiecznie trwającą zielenią drzew szyszkowych otaczających dokoła bór, pojawiały się świeże listki na obrostnicach, bankziasach i deodorach.

Przypominamy sobie, że Gedeon Spilett i Harbert, nieraz zdejmowali widoki fotograficzne z rozmaitych okolic wyspy Lincolna.

Otóż, 17. października, około godziny trzeciej z południa, Harbert, zwabiony piękną pogodą, wpadł na myśl, ażeby zdjąć widok z całej zatoki Stanów Zjednoczonych rozciągającej się naprzeciw Wielkiej Terasy, od przylądka Obu Szczęk aż do przylądka Ostrego Szponu.

Widnokrąg rysował się cudownie, a morze lekko kołysane wietrzykiem, stało w głębi nieruchome jakby jezioro, tu i owdzie tylko migocąc iskrami świetlanemi.

Harbert umieścił objektywę w jednem z okien dużej sali Pałacu Granitowego, tak że górowała nad całem wybrzeżem wraz z zatoką. Postępował przytem jak zazwyczaj, a otrzymawszy klisz, udał się po substancje złożone w ciemnym schowku Pałacu Granitowego, aby go utwierdzić.

Powróciwszy nazad i przypatrując się dokładnie kliszowi, dostrzegł na nim Harbert malutką plamkę, zaledwie widoczną, na samym widnokręgu morza. Usiłował kilkakrotnie zmyć ją, lecz to mu się nie udawało.

— To zapewne jakaś wada w szkle, pomyślał.

Z ciekawości zaczął ją badać za pomocą silnej soczewki, którą wyjął z dalekowidza.

Zaledwie jednak rzucił wzrokiem, wydał krzyk głośny, i omal klisz nie wypadł mu z ręki.

Pędem pobiegł do izby, w której znajdował się Cyrus Smith, podał klisz wraz z soczewką inżynierowi i pokazał mu ową malutką plamkę.

Cyrus Smith przypatrzył jej się; poczem chwyciwszy dalekowidz, poskoczył do okna.

Zwolna przeszedł dalekowidzem cały widnokrąg, zatrzymał się na wskazanym punkcie, poczem, odejmując lunetę od oka, wyrzekł tylko to jedno słowo: „Okręt!“

W samej rzeczy okręt pojawił się w okolicy wyspy Lincolna!

Koniec części drugiej

(C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

— Panienka czegoś smutna — odezwała się Kseńka, przerywając coraz niespokojniejszy tłum myśli, cisnących się do głowy Helence. Wczorajsza rozmowa wieczorna o „strachach“ ośmieliła do tej poufałości dziewczynę, wychowaną w dworskiej karności. W przytomności pani Zameckiej albo panny Wandy, Kseńka nie byłaby śmiała otworzyć ust, jak chyba do odpowiedzi na zapytanie, jakkolwiek była to, jak mówią, bardzo „ciekawa“ dziewczyna.

— Ależ-bo i smutno u nas teraz we dworze — dodała. — Pan choruje, i pani nie taka, jak zawsze.

— Smutniejsza? — zapytała Helenka prawie mimowoli.

— To nie, ale....

— Czy może nie dobra?

— O, dobra! Pan dobry bardzo, i pani dobra, ale...

— Ale co?

— Ale przecież co pani, to nie pan. Pan nigdy nikomu nie powie złego słowa, a z prośbami, to ludzie chodzą do niego jak z grzechami do spowiedzi, i każdy dostanie, o co prosi, choć nie jeden nie wart tego. Mego tatunia pan wykupił od wojska, i później dał mu grunt i chatę, a tatunio sami powiadają, że im się to nie należało, ale co gorszego...

— Jakto?

— Bo to proszę panienki, raz gromada prawowała się z dworem o pastwisko w pańskim lesie, i kiedy pana nie było w domu, ludzie zagnali gwałtem bydło do lasu. Co im się nagadał i ksiądz proboszcz, i komisarz, nic nie pomogło. Tak potem przyszło wojsko, a ludzie moi z cepami do żołnierzy. Mój tatunio byli pierwszym, i jeszcze drugich buntowali. Tak żołnierze, jak wezmą strzelać, i odstrzelili tatuniowi rękę, a het wszystkich gospodarzy i parobków powiązali i zabrali z sobą. Dopiero kiedy pan przyjechał z zagranicy, to póty jeździł i prosił, póki wszystkich nie puścili, a tatunio, że już nie mogli bez ręki chodzić na zarobek, dostali grunt, i chatę, i krowę, i tak za swoją krzywdę pan im nie dał zrobić krzywdy. Jeszcze że ja byłam sierotą, bez matki, pan kazał mię wziąć do zamku, i wychowałam się tutaj przy klucznicy.

— To powiadasz, że pani nie jest już taka dobra? — zapytała Helenka, której żywo stanęła przed oczyma chata Pylypychy, i wierzba, i poczwórna kareta, w czarodziejskiej wspaniałości zjawiająca się w tej pustyni.

— Ot, niby dobra, a niby... była odpowiedź. Najzręczniejsza ponoś indagacja nie byłaby zdołała wydobyć od Kseńki dokładniejszego określenia tego drugiego „niby.“ Było ono zapewne sumą wrażeń, opartych na drobiazgach, i spostrzeżeń czynionych i słuchanych w garderobie i w kuchni, w tych dwóch najkompetentniejszych izbach sądowych, wyrokujących o naszym charakterze. Helenka, w cichym domu państwa Skryptowiczów nauczona nienawidzieć wszystkiego, co jest podobnem do „plotki“, nie indagowała Kseńki, i tylko w duchu zastanawiała się nad podobieństwem swoich wrażeń, do wrażeń tej dziewczyny. Wszak i ona wiedziała, że pani Zamecka opiekuje się chorymi, że założyła ochronkę dla dzieci wiejskich, itp. Cóż jej mówiło, że są dobre uczynki, które wynikają nie z wewnętrznej potrzeby świadczenia przysług drugim, ale z innych pobudek? I dla czego od pierwszej chwili czuła coś wprost przeciwnego sympatji, na widok pani Zameckiej? I dla czego, nakoniec, Kseńka zauważała, że w zamku rymiszowskim dzieje się coś jakoś inaczej, niż zwykle?

Może trochę w nadziei, że wielomowność Kseńki rzuci jakie światło na te zagadki, a może trochę i w tej, że opowiadanie jej z zamku przeniesie się na plebanję, i nie skończy się na samym księdzu proboszczu, głównie wszakże z obawy przed samotnością, Helenka prosiła dziewczynę, żeby jej towarzyszyła w przechadzce po dalszych częściach ogrodu. Ogród francuski, przytykający do zamku, był niezbyt wielki i zamknięty szczątkami dawnych wałów, na których wznosił się nowoczesny już mur, z bramą sztachetową, po za którą po pięknym i lekkim mostku przechodziło się do parku, otoczonego już tylko rowem i żywym płotem. Wprost, park ten ciągnął się bardzo daleko i przytykał do lasu, z którego od czasu do czasu głośne gwizdanie lokomotyw i turkot pociągów kolei żelaznej wypłaszały naturalnych jego mieszkańców. Na prawo, strumyk przerzynający i zdobiący park wpadał do stawu, po za którym widać było Korytnicę, miasteczko należące do majątku p. Zameckiego, i oprócz nieuniknionej kolonji hebrejskiej obdarzone stacją kolejową, pocztową, i telegraficzną. Pierwsze domy przedmieścia znajdowały się nad stawem, tuż przy parku, i odległe były od zamku zaledwie o kilkaset kroków, a z pagórka utworzonego może z gruzów jakiej baszty przedmostowej, widzieć można było całą długą ulicę, sadzoną topolami, i wiodącą do miasteczka.

Helenka nie wiele więcej dowiedziała się od swojej towarzyszki, prócz tego, że „panicz“ na probostwie jest bardzo pięknym paniczem, tak pięknym, jak „pan“ z Kruchówki, ale młodszym, i pewno nie tak złym dla ludzi, bo ten „pan“ miał być bardzo złym. Nie było to nowiną, ale Helenka słuchała mimo to tych uwag Kseńki z niewymowną roskoszą. Mniej zajmującem było dla niej rozpamiętywanie, czyli też „ludzie“ w Kruchówce będą mniej głodni, gdy panna Wanda wyjdzie za mąż za pana Zgorzelskiego. Panna Wanda trochę skąpa, ale może to dla tego, że taka smutna; cały dzień wzdycha tylko i przebiera się z jednej sukni w drugą. Pani Zamecka także skąpa, ale to już nie ze smutku, ani z miłości, bo zwykle bywa dosyć wesołą, i jak przyjadą goście, to się nie mogą nacieszyć jej rozmo-

wą i humorem. Trochę tylko przykra w obchodzeniu się ze sługami, a od kilku dni, to raz bardzo dobra, a drugi raz taka, że trudno przystąpić do niej. Ekonomowa mówiła, że pani ma dać wyprawę pannie Wandzie, gdy będzie szła za mąż, jeno klucznica powiada, że to nie pani, ale pan, i że pani tylko wtenczas dobra, jak pan widzi i słyszy co się robi i mówi. Klucznica także już stara i gderliwa, ale poczciwa kobieta, służyła jeszcze u nieboszczki matki teraźniejszego pana za pokojówkę, a ta co była przed nią, i umarła niedawno, była piastunką samego pana. Nieboszczkę pierwszą panię klucznica ta wspomina zawsze i chwali bardzo, ale tej drugiej żony pańskiej nie lubi. Dzisiaj tak się spłakała, że aż dostała kolki, bo pani robiła jej wyrzuty, że wydaje dużo mydła. Jak się pan o tem dowie, to niezawodnie Rychcińska—tak się nazywa ta klucznica, dostanie dla swojej córki, co jest za księdzem w Hnilczycach, tyle mydła, że wystarczy go dla kilku pokoleń *świaszczenników*. Ta jej córka, to garbata i brzydka osoba, podobna jak dwie krople wody do matki, ale ksiądz się z nią ożenił, bo Rychcińska naskładała dużo pieniędzy, a pan dał wyprawę, nawet bryczkę, i parę koni, i futro dla księdza, i prezentę na probostwo. A teraz ksiądz buntuje ludzi na pana, ale go nie słuchają, i dobrze robią. Już to takiego księdza, jak polski proboszcz w Rymiszowie, to poszukać daleko i ze świecą. Z panem bardzo się lubią obydwaj, i tak się zawsze witają i żegnają serdecznie! A niedawno pan powiedział: „No, księże, dwa razy żeniłem się, a nie dawałeś mi ślubu, poczekaj, teraz za karę ożenię twojego wychowanka z moją wychowanką, i to w ruskiej cerkwi.“ A ksiądz na to: „Niech już sobie biorą ślub gdzie chcą, byle się pobrali, i byli szczęśliwi.“ Zaś ten wychowanek, to właśnie ten piękny panicz, co jest na probostwie, i co był wczoraj na objedzie w zamku.

Kseńka nie mogła domyśleć się, z jakiem biciem serca Helenka słuchała tej ostatniej części jej szczebiotania, ani dociec, dla czego z pewnem niedowierzaniem kazała jej powtórzyć parę razy rozmowę p. Zameckiego z proboszczem. Pokazało się, że Kseńka nie pamiętała jej dosłownie, ale że z pewnością była mowa o wydaniu wychowanki p. Tadeusza ze wychowanka ks. proboszcza, i że nie chodziło tu o żadną z dziewcząt w Rymiszowie, ale o inną, w mieście — jakoteż, że Kseńka słyszała to wszystko przed trzema czy czterma dniami, gdy pan Zamecki wyprowadzał proboszcza na ganek i podawał mu rękę na pożegnanie. Kseńka uważała wszakże, że panienka była na przemian bardzo bladą i bardzo czerwoną, gdy ją słuchała, i drobna rzecz wystarczyła później tak „ciekawej“ dziewczynie, aby poznać, że coś się święci.

Tymczasem, od kwadransa już, lekka dorożka, zaprzężona parą tarantowatych kuców, powożona przez elegancką damę i oprócz innych rekwizytów zaopatrzona w grooma, umieszczonego w kabrjolecie z tyłu, opuściła była bramę zamkową i skierowała się ku przedmieściu Korytnicy. Był to ekwipaż *de fantaisie* pani Zameckiej, która lubiła czasem, ku zgorszeniu mniej zamożnych szlachcianek na wsi i w mieście, odgrywać i w ten sposób rolę emancypantki, chociaż nią nie była z profesji. Jednem z pomieszkań na przedmieściu, najbliższych zamku rymiszowskiego, był dworek o czterech oknach, z gankiem i ogródkiem od frontu, i z cokolwiek nadto widocznemi innemi attynencjami od tyłu, między któremi zajmował wybitne miejsce płot, zawieszony poduszkami i pierzynami różnej wielkości i różnego kształtu, pokrytemi taką materją w kratki, iż o ćwierć mili można było domyśleć się, że tu nie może mieszkać nikt inny, jak tylko syn wielkiej, bo większej coraz Germanji, albo wyznawca starego mojżeszowego zakonu. Resztę wskazówek etnograficznych uzupełniał semicki nos małego i suchego mężczyzny, który stał na ganku i na widok zbliżającego się ekwipaża zawołał:

— *Kinder, Kinder! Kimt gejeh, di grefin kimt ci furen!* *) Na to hasło, różne i różnego wieku istoty płci żeńskiej pojawiły się w oknach i na ganku, w chwili, gdy „doktor“ Feiles przybierał najbardziej uczoną i poważna swoją minę, ażeby nią zaimponować „hrabinie“, i gotował się oraz do okazania jej swojego uszanowania uroczystym ukłonem.

„Doktor“ Feiles był doktorem na tej samej zasadzie, za jakiejby można kogo nazwać księdzem z powodu, iż raz przed trzydziestu laty przez zakrystję wszedł do kościoła. Brak lekarzy nakazywał dawniej jeszcze więcej niż teraz patrzeć przez palce na ich kwalifikacje, i teraz dopiero wymiera powoli w Galicji reszta felczerów starej daty, o jakich kiedyś potomność słuchać będzie z niemałem zadziwieniem. Nie dość, że po ukończeniu niższych szkół, można było odbyć krótki kurs lekarski i uzyskać patent na chirurga, ale byli i tacy, którzy i bez tej formy uzyskiwali jakoś nietylko prawo pisania recept, lecz i stanowiska urzędowe. P. Feiles należał do ich liczby, i przez dwadzieścia lat, na trzy mile w koło, był jedynym człowiekiem upoważnionym do orzeczenia, którego wołu wolno zarznąć, którego obywatela pochować, któremu puścić krew z obydwu ramion i postawić trzy tuziny pijawek, a któremu, według stopnia zamożności, zadać sarsaparilli albo „auri muriati.“ Działo mu się z tem bardzo dobrze, a szczególnie epidemje na dwudziestu przednowkach, były dla niego dwudziestu obfitemi żniwami, których plonem nie potrzebował dzielić się z nikim, jak tylko z aptekarzem. To też obydwaj jednocześnie nabyli domy, ogrody i grunta, ludzkość zaś miała ztąd ten pożytek, którego zasługę złośliwy Szkot Smollett przypisał lekarzom angielskim: indywidua chorowite, lub nie dość silne, by wytrzymały kurację, wymierały prędko i bezpotomnie, a tem samem, według teorji Darwina, starej jak chów koni, każda następna generacja musiała być stosunkowo silniejszą i zdrowszą od poprzedniej. Zbawiennemu temu wpływowi p. Feilesa na stan zdrowia Korytnicy i jej okolic położyło tamę sprowadzenie się tamże dyplomowanego doktora medycyny, p. Chimerskiego, i odtąd p. Feiles już tylko w jego zastępstwie pełnił funkcje urzędowe, z prywatnych zaś pacjentów chyba tylko najubożsi żydzi powierzali się jego niezawodnym rękom. Mam to przekonanie, że jeżeli ludność żydowska dotychczas liczbą swoją nie przewyższa chrześcjańskiej, to powód leży w tem, iż z pomiędzy chrześcijan włościanie nigdy nie szukają pomocy lekarskiej, a zamożniejsi przebierają między lekarzami, podczas gdy żydzi, byle co bądź któremu brakowało, zaraz biegną do doktora Feilesa. To też gdy umrze ostatni Feiles, za dwadzieścia lat wychodzić będą we Lwowie pisma, żalące się na to, że w kraju jest „tak wiele“ chrześcijan, i że ci nie mając innego zarobku, za pomocą lichwy wysysają krew z biednych żydów, pracowitych, pobożnych, trzeźwych, przechowujących w swojem łonie tradycję ojców itd. Już doktor Feiles uskarżał się na uciemiężenie, jakiego doznawał ze strony dr. Chimerskiego i na to, jak ogólnie zapoznawano jego naukę, wzmocnioną doświadczeniem tyloletniem. Do zamku w Rymiszowie nie wzywano go oczywiście nigdy, a czasem bawiono się tam jego kosztem i opowiadano sobie anegdoty, których dostarczały: jego praktyka lekarska, jego nieumiejętność władania jakimkolwiek językiem, i pretensje pani Feilesowej do wykwintnego tonu i odpowiedniego mu stanowiska towarzyskiego. Nie bez tego wszakże, ażeby czasem jaka furka słomy, albo jaki łaterek drzewa z folwarków i lasów p. Zameckiego nie dostał się doktorowi, a gdy chodziło o zaokrąglenie jego posiadłości ziemskich jakimś koniuszkiem pola i łąki, p. Zamecki okazał się jeszcze więcej wspaniałomyślnym. Oprócz tego, panna Babeta, starsza panna Feilesówna, korzystała do woli z beletrystycznej literatury francuskiej i niemieckiej, której pełno było w zamku — należy bowiem wiedzieć, że p. Feiles i p. Feilesowa tylko w najściślejszem kółku rodzinnem używali dźwięcznego narzecza, w którem powyżej przytoczyłem kilka wyrazów, *coram publico* zaś uprawiano niwę, zasianą babilońskiem pomięszaniem różnych piśmiennych języków europejskich: polskim i francuskim, jako *bon genre*, a niemieckim jako uważanym w sekrecie za perłę między prostemi i ślimaczemi muszlami, zapewne z tego powodu, że często w nim powtarzające się *r* pozwalało rozwinąć całą naturalną miękkość palestyńskiego akcentu. Pani Zamecka, której p. Feiles opisał był swoją córkę jako mówiącą, piszącą, marzącą, jedzącą, pijącą, chodzącą i siedzącą tylko po francusku, przy pierwszem poznaniu się z panną Babetą rozmawiała z nią w tym języku, i to było koroną dzieła, dzięki któremu p. Feiles zapatrywał się na pp. Zameckich jako na ludzi w gruncie dobrych, a tylko srodze obałamuconych przez tego... tego... *szwarcjura*, Chimerskiego.

Wielka radość rozpromieniła tedy oblicze tego męża nauki, gdy pani Zamecka zamiast odwzajemnić jego ukłon i pojechać dalej, zatrzymała konie, rzuciła lejce groomowi i z czarującym uśmiechem na ustach — nie w oczach — lekko wyskoczyła z faetonu. Jednocześnie, przez drzwi od sieni i przez okna dało się słyszeć w domu wielkie szeptanie, wielkie suwanie pantoflami i człapanie staremi trzewikami, wielkie wysuwanie i zasuwanie szuflad, odmykanie i zamykanie drzwi itd. Pani hrabina! Pani Feilesowa byłaby dała rok życia — przynajmniej wstecz — za to, ażeby pani Beilesowa, aptekarzowa, pani poborczyni pani kontrolorowa, pani poczmistrzowa i pani szefowa stacji znalazły się w tej chwili na ulicy przed jej domem, i ażeby widziały ten piękny ekwipaż z groomem w liberji, i tę piękną hrabinę, wchodzącą do jej bawialnego pokoju, i ażeby słyszały tę piękną francuzczyznę, z jaką przemówiła do Babety:

— *Ah, bon jour, mademoiselle! La lecture vous absorbe toujours, comme je vois?*

— Achch! *madame, la lectirrhhe, c'est pour moi ène isache!* — odpowiedziała na to panna Babeta, chciała zaś powiedzieć *un usage*, a miała powiedzieć *délices*, albo *volupté*, albo *plaisir;* cóż, kiedy w słowniku stało, że *Genuss* nazywa się *usage!* Potrzeba bowiem wiedzieć, że na przyjęcie pani hrabiny, panna Babeta ulokowała się była na krześle obok komody, nakrytej czerwoną serwetą i zastawionej filiżankami, szklankami, cukiernicz-

*) W żargonie z żydowsko-niemieckim: „Dzieci, dzieci, chodźcie prędko, hrabina jedzie!“

*

kami, łyżkami srebrnemi itp. i wczytała się głęboko w *Les Mémoires d'une femme*, Eugeniusza Sue.

— Mam prośbę do pana konsyliarza — rzekła pani Zamecka, przyjąwszy ofiarowane jej miejsce na kanapie i zapewniwszy panią Feilesowę o głębokiej melancholji, w jaką popadła z powodu iż tak dawno nie widziała pani konsyliarzowej.

Pan konsyliarz zapewniał nie mniej uroczyście, że jest na usługi, a pani konsyliarzowa szykowała tymczasem na stoliku przed kanapą drugą czerwoną serwetę, drugi stos łyżeczek, kryształowych miseczek i szklanek, karafkę z wodą i ogromny, a bardzo pod pewnym względem podejrzany słój, który, jak się później pokazało, zawierał konfitury ze skórek pomarańczowych, smażone na miodzie.

— Pan konsyliarz musi znać starą Horpynę Nakoneczną, która mieszka w chacie dworskiej w Rymiszowie, zaraz pod zamkiem?

— No, jakby miał nie znać, wtrąciła pani konsyliarzowa. Taki konsyliarz, jak mój mąż, to on musi znać wszystko!

— Otóż biedna kobieta chorą jest mocno, i prosiłabym, ażeby pan konsyliarz ją odwidził, i kazał jej dać z apteki, co będzie potrzeba, rozumie się, wszystko na mój rachunek.

— Zaraz, zaraz idę! zawołał p. Fejles z entujazmem.

— Mój mąż, konsyliarz, on zaraz idzie! potwierdziła pani Feilesowa.

— To biedna stara kobieta, ona bardzo słaba, ja wiem, mówił p. Feiles. Ona ma... jak mam to powiedzieć pani hrabinie? To się nazywa *die Fettsucht*; to jest tak, jak ktoś jest bardzo tłusty, a potem jeszcze więcej bardzo tłusty, a potem jeszcze więcej i jeszcze więcej, aż on umrze.

— Ależ ona taka chuda jak szkielet! Sądziłam, że ma suchoty.

— Już niech mnie pani hrabina wierzy, ja to wiem, ja to wiem najlepiej, odparł Eskulap przymrużając oczy i robiąc ręką giest w powietrzu. — Takim starym babom, to im nie trzeba nigdy wierzyć!

— Już niech mu pani hrabina wierzy, on to wie najlepiej! Mój mąż... on konsyliarz! Takim starym babom, to ich nie potrzeba nawet słuchać, co oni gadają!

— Doktor Chimerski leczył ją dłuższy czas, ale bez skutku, bez najmniejszego skutku, zauważyła pani Zamecka.

— Ja pani hrabinie powiem, rozpoczął uroczyście p. Fejles, i pochyliwszy głowę na piersi, zamrużył oczy, jak kogut, kiedy pieje, a pragnie dać poznać kurom, że umie to na pamięć. Ja pani hrabinie powiem! Te młode doktory, to oni... nu, to oni nic nie wiedzą.

— To bardzo smutne dla mnie zapewnienie, panie konsyliarzu. Chimerski, jak pan wiesz, leczy mego męża, który w nim pokłada ufność bezwzględną. I cóż z tego? Leczenie trwa już kilka lat — (westchnienie) — a memu biednemu mężowi — (westchnienie) — (westchnienie) — coraz gorzej! Od kilku dni jest nawet — (otarcie łzy chustką) bardzo chory!

— Ja wiem, że pan hrabia jest niebezpieczny, ja to mówiłem naprzód, nie prawda, żono?

— On to mówił naprzód, niech jemu pani hrabina wierzy, on konsyliarz, potwierdziła pani Feilesowa, która załamywała ręce w miarę jak mnożyły się westchnienia pani Heleny.

— On jest bardzo, bardzo chory! powtarzała pani Zamecka, z wyraźnym już teraz płaczem. Pani Fejlesowa spojrzała na pannę Babetę, a panna Babeta na nią, i ubolewające: ach! — prawdopodobnie szczere, wyrwało im się z piersi. Pani Helena głosem przerywanym od łkania opowiadała dalej, że mąż jej zemdlał od wczoraj kilkadziesiąt razy, i opowiadanie to pod względem obrazowości i szczegółów tak dalece nie zostawiało nic do życzenia, że pani Feilesowa i panna Babeta były już tylko dwoma posągami przerażenia i smutku. Uczucia te były z pewnością prawdziwe, pomimo to, że wyraz ich był przesadzony; najpierw bowiem p. Zamecki nie zrobił im nigdy nic złego i nie miały powodu źle mu życzyć, a potem, współczucie dla chorych jest jedną z wybitnych stron charakteru żydowskiego, i objawia się nawet w indywiduach najbardziej przesiąkniętych tym agresyjnym egoizmem, który zarzucają żydom.

— Ja to znam dobrze, zapewniał p. Feiles. Ja wiem, co jest panu hrabiemu. Pan hrabia ma „hemorosis pulmonica acutissima." — Jest to wyraz nieznany w żadnej terminologji lekarskiej, i w żadnej łacinie, ale p. Feiles nie robił sobie nigdy skrupułów w tej mierze, gdy chciał zaimponować profanom swoją uczonością — dodał więc tylko dla objaśnienia:

— To są te hemoroidy, co one jemu uderzyły tu, na płuca. Ja miałem takich nie sto, i nie dwieście wypadków w mojej praktyce, a wszystkie zaraz były wykurowane. To u mnie bagatelka.

— Ja już bardzo dawno życzę sobie, ażeby pan konsyliarz udzielił swojej rady mojemu mężowi, ale cóż — wszak wiesz pan, jaki on uparty w niektórych rzeczach. Wierzy w tego Chimerskiego!

P. Feiles kiwnął lekceważąco ręką, a p. Feilesowa skorzystała z krótkiej przerwy, by rozpocząć uprzejmą indagację na temat, czy pani hrabina nie pozwoli kawy? Pani Helena musiała długo wypraszać się, nim nawiązała na nowo nić poprzedniej rozmowy:

— Powiem panu szczerze, że przyjechałam tu umyślnie poradzić się i umówić jaki sposób, by mój mąż wbrew swojej woli dostał się w ręce lekarza, który nie żartuje z taką słabością. Jestem ogromnie zaniepokojoną.

— No, ja to widzę! wtrącił doktor. I tu pani hrabina ma rację, bardzo wielką rację, że te młode doktory, to oni sobie żartują ze słabościów, a potem co? Potem słabościów biorą i żartują sobie z nich!

— Ale tu nie ma co żartować, zawołała pani Helena, uśmiechnąwszy się dla sprawienia satysfakcji doktorowi, ze względu na jego humorystyczne przeciwstawienie żartów i żartów. — Mój mąż jest w niebezpieczeństwie życia.

— No, pewnie. Może przyjść apopleksja, paraliż, szlag, a potem fik! i koniec. To tak może przyjść, ot, zaraz!

— Boże! zawołała pani Helena składając ręce. Zaraz!

— No, nie koniecznie zaraz, ale jutro, po jutrze, kiedybądź. Kiedy pani hrabina każe, żebym ja tam przyszedł?

Pani hrabina wszakże była zbyt przerażoną tem, co p. Feiles powiedział przedtem, i musiano podać jej wody, nim trochę przyszła do siebie. Po tem dopiero ułożono się, że konsyliarz nazajutrz około wieczora pod pozorem zwykłej wizyty przybędzie do zamku, otworzy p. Tadeuszowi oczy, ażeby poznał niebezpieczeństwo w jakiem się znajduje, i — oczywiście, zapisze mu receptę. P. Helena pożegnała następnie konsyliarza i konsyliarzowę po polsku, a pannę Babetę po francusku, i wróciła do zamku. P. Feilesowa dożyła zresztą tej roskoszy, że w chwili kiedy „pani hrabina" uściskała jej po przyjacielsku rękę na ganku, i mówiła: *au revoir* Babecie, cały wielki świat Korytnicy szedł właśnie na spacer poprzed dom doktora, i w odpowiedzi na swoje ukłony otrzymał od pani Heleny tylko bardzo zimne i obojętne skinienie głowy.

Wyprawa powiodła się — nietylko p. Feiles był przygotowanym na to, co się stać miało, ale cała Korytnica wraz z przyległościami wiedziała tego jeszcze wieczora, że p. Zamecki jest śmiertelnie chorym i lada chwila umrze, że pani Zamecka jest w rozpaczy, i że bez wiedzy męża zawezwała doświadczonej rady p. Feilesa. Po tem wszystkiem, katastrofa nie mogła dla nikogo być zdarzeniem nienaturalnem, albo niespodziewanem.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Uwagi do str. 695—734 polskiego tłumaczenia geografii Guthego. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbrandta 1875.*)

Str. 704 w. 1 mamy „zachodząc różnej (poprawniej rozmaitej) wielkości smugami" zam. „rozrzucone różnej wielkości płatami i smugami" (Tat. 8, 34); w. 4 położono „tarasowatych" zam. „upłazistych" (Tat. 9, 1), nie rozumiejąc oczywiście znaczenia wyrazów „upłaz, upłazisty," aczkolwiek przez Pola używanych, i różnicy pojęć geograficznych „taras i upłaz;" w. 6 opuściwszy wyraz „cienisty", wyrazy „przedsionek wyniosłego gmachu Turni" (Tat. 9, 3) położono między cudzysłowami; w. 8 opuszczono dwuwierszowe zdanie Tat. 9, 6—8; zdanie Tat. 9, 10—13 „Podnoszą — czubałki" skrócono, „Przytem — wierzchołkami" 704, 11 i 12; w. 13 dodano „w jakie obfitują np. Alpy szwajcarskie;" w miejscu zdania „Ten brak—dzikości" (Tat. 9, 23—27) położono 704, 21 „Ztąd też Tatry są mało zaludnione," zdanie mylne o tyle, iż w wnętrzu Tatr nie ma wcale żadnych stałych siedzib ludzkich; mała osadka hutników w dolinie kościeliskiej w r. 1777 jeszcze nie istniała, nie ma jej w owczesnej tabeli konskrypcyjnej. Pierwszą o niej wzmiankę znalazłem w tabeli konskrypcyjnej z r. 1799; składała się ona wówczas z 10 domków i 11 mieszkańców, tj. 3 mężczyzn żonatych, 5 kobiet i 3 dzieci. Tabela konskrypcyjna z r. 1824 wykazuje tylko 5 domów i 32 mieszkańców tworzących 7 rodzin, między nimi 16 kobiet i 1 obcokrajowca (urzędnika). Osada ta później znikła. Huty zakopiańskie i jaworzyńskie leżą u ujść dolin. Po w. 24 opuszczono ustęp Tat. 9, 31—37, aczkolwiek w nim mowa o jednej z wyłącznych cech Tatr, przynajmniej na stronie południowej i wschodniej, to jest, o braku przedgórz; w 31 położono „sarmackich" zam. „Polski" (Tat. 10, 10). Str. 705 w. 4 opuszczeniem wyrazów „aż do wioski Maniowy (poprawniej Maniów, właściwie zaś aż do wioski Czorsztyna), gdzie dosyć nagle zwęża się dolina Dunajca" (Tat. 10, 20) utworzono ogromną niedorzeczność, iż „pasma Karpat," przestawszy być działem wód, „wyginają się ku południowemi zachodowi (raczej wschodowi) wzdłuż lewego brzegu Dunajca pomiędzy stromemi ścianami Pionin (ma być Pienin)!" Więc Pieniny obejmują sobą, to

jest ścianami swemi spadającemi stromo ku Dunajcowi, a nawet do Dunajca (między Czerwonym Klasztorem a Niżniemi Szczawnicami), pasma Karpat! Takie poprawki i skrócenia świadczą o zupełnej nieznajomości przedmiotu, a zarazem o braku przezorności, nie widzącym potrzeby rozpatrywania się jużcić nie na pierwszej lepszej szkolnej mapce, lecz na wielkich i dokładnych mapach. Wykażę niżej, jak już dotąd w kilku miejscach napomknąłem, iż w pismach Tatomira znajdzie się także tu i owdzie jaka niedokładność lub pomyłka, wykażę zararem, że Tatomir w późniejszych pismach prostował takie niedostatki, czasem oczywiste błędy drukarskie, ale niedorzeczności tak potężnych, świadczących o zupełnej nieznajomości rzeczy, a przynajmniej o ogromnej lekkomyślności, jak ją w tłumaczeniu Guthego spostrzegamy, w geograficznych pismach jego, o ile je znam, nie ma. W w. 12 opuszczono „koło Jazowska.“ Str. 706 w. 10 położono „Galicyą“ zam. „ziemię polską“ (Tat. 11, 18); w. 11 „Galicyi“ zam. „ziem polskich“ (Tat. 11, 20); w. 20 opuszczono 5 wierszy „Linia graniczna — Bohorodczanom“ (Tat. 11, 30—34); w. 24 opuszczono 3 wiersze „Soły — Sącza“ (Tat. 12, 2—4).

Na uwagę zasługuje ogólnikowe odwołanie się szanownego tłumacza w przypisku na str. 705 do Pola Północnych stoków Karpat bez wskazania strony. Całą tę (705) i następującą (706) stronicę zarówno jak kilka poprzedzających i jeszcze kilkanaście następujących stronic wzięto dosłownie z Tatomira. Odwołanie się zatem w tem miejscu do Pola nie może służyć do niczego jak do tumanienia czytelnika. Rzecz, o której tutaj mowa, znajduje się u Pola na str. 21 w. 30 i następ. i na str. 24 w. 7 i następ. Proszę atoli porównać dotyczące ustępy w Polu, Tatomirze i tłumaczeniu Guthego. Tatomir wczytał i wżył się prawie w Pola i przyswoił sobie jego sposób widzenia i przedstawiania rzeczy, ale go nie wypisuje, gdy tymczasem szanowny tłumacz Guthego udawając, jakoby studjował Pola i streszczał go arcyzręcznie, po prostu wypisuje dosłownie Tatomira.

Str. 713 w. 13—26 wzięto dosłownie z Tatomira (str. 20 w. 17—33), opuściwszy niespełna dwuwierszowe zdanie (Tat. 20, 18 i 19). Na tejże stronicy 713 w. 27—31 zgadza się pięknie z Tat. 21, 17—26. Opuszczono 2 wiersze (20 i 21) i kilka źródeł oleju skalnego wymienionych w Tatomirze, między niemi atoli także ważniejsze, np. Borysław. Str. 713 wiersz ostatni i str. 714 w. 1—6 odpowiadają Tat. str. 22 w. 6—21 z skracaniami nie świadczącemi o głębokiej znajomości rzeczy, jakiem n. p. jest opuszczenie zdroju iwonickiego, a „doprowadzając wiadomości geograficzne do ostatniej chwili,“ należało przecież dodać Rabkę.

Str. 717 i 718. Na str. 717 w. 13—24 odpowiada Tat. str. 34 w. 25 do końca i str. 25 w. 1—7, opuszczono jedynie dwa zdania (Tat. 25, 3—6), a zamiast „kilka sążni“ położono „8—10 metrów.“ Tamże str. 717 w. 32 do końca i 718 w. 1—22 i w. 26 do końca wzięto z Tatomira str. 35 w. 23 do końca i str. 36 w. 1—18; opuszczono „w powiecie Ihumeńskim“ (Tat. 35, 25); w dwu miejscach opuszczono szerokość Niemna (Tat. 35, 34 i 36, i) i kilka słów z w. 7 i 8, a wyraz „pokrajane“ (Tat. 36, 11) zastąpiono niestosowniejszym „zroszone“ (118, 15), boć „bagniste niziny“ nie potrzebują zroszenia, mogą jednak być poprzerzynane strugami wód, mniejszemi i większemi rzekami. Opuszczono także kilka wyrazów w w. 28.

Str. 719 w. 19 do końca i str. 720 w. 1—4 przeniesiono bez najmniejszej zmiany z Tatomira str. 32 w. 4—21 do tłumaczenia Guthego.

Str. 720 w. 13 do końca, stronice 721, 722, 723, 724 i 725 po wiersz 5 znaleść można u Tatomira na str. 32 w. 23 do końca, str. 33 w. 1—4, str. 31 w. 21—23, str. 37 w. 28 do końca, str. 38, 39, 40, 41 i 42 w. 1—32. Zmiany poczynione przy tej pożyczce są następujące. Str. 720 w. 13 „zajmujące“ poprawniej niż „czyniące“ (Tat. 32, 23); z w. 25—28 zrobiono bez uszczerbku rzeczy wiersz jeden; w w. 29 odpowiadającym wraz z w. 30 Tatomirowemu w. 21—23 na str. 31 cztery wyrazy w Geografii ogólnej drukowane pismem rozstrzelonem położono między cudzysłowami; w. 32 opuszczono „wyjątkowo zwana także Białą wodą“ (Tat. 37, 29), trudno zgadnąć, dlaczego, bo lud dotąd ramię Wisły nastające na północnym stoku Baraniej zwie Białą Wisłą, a że dawniejszemi wieki całą rzeczą tak zwano, na to, nie szukając daleko, dwa świadectwa, Klonowicza i Długosza, w słowniku Lindego znaleść można. Str. 722 w. 9 położono poprawniej „Dostawszy się na polne równiny“ zamiast „Upływając w poliste równiny“ (Tat. 39, 23); w. 22 „daleko suchsze“ zam. „suchsze“ (Tat. 40, 2); w. 22—24 i 34 przy Gniewie, Tczewie, Malborgu i Gdańsku dodano niemieckie nazwy tych miejsc, a opuszczono stopień szerokości, pod którym Wisła dzieli się na dwa ramiona (Tat. 40, 4); w. 27 „zalew“ zam. „odnogi“ (Tat. 40, 7); w. 30 opuszczono „14 ujściami“ (Tat. 40, 10); w. 36 opuszczono geogr. dług. ujścia Leniwki do Bałtyku (Tat. 40, 16). — Str. 723 w. 2 opuszczono trzywierszowe zdanie (Tat. 40, 26—28), umieściwszy je w przypisku (4); w. 9 „trafiają się“ zam. lepszego „bywają“ (Tat. 40, 35); w. 14 „Przyczyną tych wylewów „są“ lepiej zam. „Sprowadzają te wylewy“ (Tat. 41, 6); w. 15 „Powódź w innych porach wywołuje“ zam. „Przyczyną powodzi w innych porach bywa“ (Tat. 41, 7); w. 22 „Bug z Narwią“ zam. „Narew z Bugiem“ (Tat. 41, 14) z naiwnym przypiskiem: „Trzymamy się w tem zdania Guthego.“ — Str. 724 w. 10 opuszczono cztery dosyć znaczne dopływy Dunajca (Łososinę, Białkę, Kamienicę, Białą Tat. 41, 34); w. 11 opuszczono „a żeglownym (staje się Dunajec) od ujścia Popradu pod Sączem“ Tat. 41, 36); położony u Tatomira (42, 3) w texcie w nawiasie tytuł dzieła Humboldtowego przeniesiono do przypisku z podpisem Wr. (Wróblewski); w. 22 opuszczono zdanie: „(Wisłoka) jest spławną, a od Jasła mogłaby nawet być żeglowną“ (Tat. 42, 13); w. 27 opuszczono wszystkie dopływy Sanu, wymienione u Tat. 42, 19—22, pozostawiwszy mniej ważne, bo mniejsze dopływy Wisłoki. — Str. 725 w. 3 opuszczono długość i wszystkie dopływy Wieprza (Tat. 42, 27—30).

Str. 725 w. 6—33 jest skróconym i nieco zmienionym textem Tatomirowym (str. 42, w. 33 do końca i 43, 1—31).

Dr. E. Janota.

(C. d. n.)

POGADANKI.

IV.

Odgrzewanie starych dykteryjek jest przywarą, którą wytknął już Fredro w Panu Jowialskim. Ponowne wytykanie tej przywary byłoby naśladownictwem, dowodziłoby braku oryginalności, a brak ten, według kodeksu krytycznego, jest zbrodnią zasługującą na kilka tygodni ciężkich recenzyj, obostrzonych dwukrotnym cytatem w każdym wierszu. Nie pozostaje przeto sumiennemu i krytykobojnemu fejletoniście nic, jak tylko być innego zdania niż Fredro, który nic nam nie zrobi złego, i którego kochamy, podczas gdy krytycy są złośliwi i boimy się ich okropnie. Chrześcijanin grzeszy przecież jedynie z tej przyczyny, że Boga kocha tylko, a djabła boi się i słucha. Popełnijmy tedy grzech chrześcijański, i trzymajmy się zasady, że powtarzanie starych dykteryjek jest najmilszym i najprzyjemniejszym nałogiem w świecie. A więc do dzieła.

Najwięcej starych dykteryjek, pomiędzy wszystkimi znajomymi moimi, umiał Karol Pieńkowski. O niektórych twierdził, że pochodzą z Indyj, tj. że powstały w czasie, w którym aryjscy nasi przodkowie rozmawiali po sanskrycku, jak gdyby ich dzisiaj kto mógł zrozumieć — wyjąwszy Platona Kosteckiego, bo ten umie jeszcze gorzej niż po sanskrycku, a mianowicie, po norwegsku. Z grzbietów Hindukuszu tedy, to północnym, to południowym brzegiem Kaspijskiego morza, anegdoty te przez Wołgę, Don i Dniepr, albo przez Małą Azję *via* Bosfor wędrowały do Europy. Po drodze wszakże zabrały z sobą jednę, która nie pochodziła z Indji, ale z nie tak daleka tj. z Litwy. Znajduje się w niej tylko jeden wyraz sanskrycki, którego etymologję pozwolę sobie wyjaśnić pokrótce, zważywszy, iż szanowny czytelnik zapewne rad będzie niezmiernie odnieść przecież jaką korzyść z poufnej pogadanki, prowadzonej — nie z ślubnym *mężem* wprawdzie, ale zawsze z gorącym, choć niedoznającym wzajemności wielbicielem *nauki*. Chodzi tu o pierwiastek *dur*, który znajdujemy w językach wszystkich narodów indoeuropejskich, użyty w różnem, ale zawsze w pokrewnem znaczeniu. U Greków zrobiło się z niego *dyros*, szorstki; u Rzymian *durus*, twardy; u Niemców *dürr*, wyschnięty; u Muzykantów *dur*, zelżywy przydomek dawany różnym literom abecadła; u Słowian nakoniec *dur-ny*, tj. cierpiący na chroniczne stwardzenie mózgu. Z tego ostatniego wyrazu, najbliżsi krewni Słowian, Litwini, utworzyli rzeczownik, który się wymawia „doreń“ i stanowi przedmiot niniejszej scyentificznej rozprawy.

Sama zaś anegdota litewska Karola Pieńkowskiego rozpoczyna się od skonstatowania faktu, że Warszawa, jako największe polskie miasto, najwięcej też stosunkowo wydaje i wysyła w świat indywiduów, których matki nie w porę „zapatrzyły się“ na młyn, w skutek czego niemowlęta przyszły na świat z pytlem w gębie, zamiast języka. Pytlowatość ta udziela się następnie całemu „osobnikowi“ i sprawia, że mózg, oczy, uszy, ręce i nogi jego są nieustannie w takim ruchu, jak gdyby chodziło o dostawę mąki dla całej wielkiej armji Napoleona I. W skutek tego zaś „osobnik“ taki nie może nigdy usiedzieć na miejscu, i tak często widywanym bywa w różnych okolicach kraju, że przez jakiś czas przypuszczano, jakoby Warszawa już wcale nie miała innej ludności. Jedno więc

takie *perpetuum paplabile* przeleciało w mig trzęsawiska nad Obrą, wstąpiło na Żuławy, zaglądnęło do Panny Marji w Krakowie, pojawiło się w okolicy Peczeniżyna, pofurkało trochę na Polesiu, zapewniło zakrystjana w Nowogródku, że znało osobiście Grażynę i służyło z nią w jednym szwadronie, pod Langiewiczem; a nakoniec ugrzęzło wśród czarnych lasów śpilkowych, gdzieś niedaleko Kircholmu czy Dynaburga, w dworku litewskiego szlachcica, który miał litewską starkę, litewski miód, i nie cztery jak Kiejstut, ale dwie tylko litewskie córki. Główną zaś cnotą szlachcica była litewska gościnność, a co do córek jego, nie wiem czy która z ich wielu cnót była mniej główną, ale najgłówniejszą była niezawodnie litewska piękność. Rzekłbyś, dwie Wilije, dwie Kowieńskie doliny jedna obok drugiej. Wszystko to razem, starka, miód, gościnność i piękność, wprawiło pytel w szalone pytlowanie naokoło swojej osi, na cały pierwszy wieczór. Co się tyczy Litwina, ten z natury flegmatyczny i skłonny do gruntownej refleksji, milczał i słuchał uważnie. Przez noc atoli *perpetuum paplabile* wypoczęło sobie, i nazajutrz weszło w akcję z podwójną energią, od wieczora do rana. Jeżeli wczoraj pytel był człowiekiem, który znał wszystkich wielkich ludzi, widział wszystko i wszystkiego doświadczył, to dzisiaj sam był wielkim człowiekiem, sam był wszystkiem. Czyny bohaterskie i salonowe, przygody donżuanowskie i ascetyzm klasztorny, sława literacka i artystyczna, uczoność wszelkiego rodzaju, inżynierja i filologja, chemia i historja, strategia i agronomia, matematyka i polka-mazurka, fizjologja i mistyka, wszystko to jak promienie jednego wielkiego, wieszczego olbrzymaducha płynęło z jednego ogniska, z maszynerji, poruszającej pytel. Litwin ciągle milczał i słuchał.

Na trzeci dzień, szybkość pytla i wielkość jego władcy wzmogły się w stosunku, jak miljon do swojego sześcianu. Nastąpiły także praktyczne wykłady, *in usum* niedźwiedzi litewskich, o wielkiej misji pytla w świecie, o jego kapłaństwie, genjuszu i różnych rodzajach poezji. Litwin ciągle siedział nieruchomy jak posąg Peruna, apatyczny na pozór i milczący, z oczyma wlepionemi w cudowny pytel, w którego maszynerji utwierdzało się coraz mocniej przekonanie, że ten potomek Palemona przygnębiony jest że wszystkiem, unicestwiony jej ogromem. W tem, wśród największego prestissimo pytlowania, Perkunas podniósł się powoli, wsparty pięściami na stole. W twarzy jego malowało się przekonanie, zdobyte długą, mozolną, ale gruntowną refleksją. Otworzył usta i śpiewającym akcentem:

— Eeet! Pan sam doreń! — rzekł i wyszedł z pokoju, a za nim Wilija i Kowieńska dolina, falujące, złotowłose, modrookie... Pytel stuknął i ustał.

Resztę opowiedzą sprawozdania z niektórych odczytów publicznych, a autorowi „Oślej góry“ dziękuję za jego litewską anegdotkę, pełną rdzennego litewskiego sensu moralnego. Spodziewam się, że i zawarta w niej maleńka porcyjka „sanskrytu“ znajdzie, ze względu na ten sens moralny, pobłażliwe przyjęcie i odpowiednie zastosowanie.

Jan Lam.

Z pola badań.

Prędkość myśli.

Zmierzyć prędkość myśli! co za myśl zuchwała! Zmierzyć to cośmy przywykli uważać jako wyrywające się z pod panowania czasu, mówimy przecież „prędki jak myśl“ na coś, co czasu nie potrzebuje. Myśl ta wydaje się nam szaleństwem na pierwszy rzut oka, a był czas jednakże kiedy i zmierzenie prędkości światła uważano za mrzonkę, ba, twierdzono nawet niegdyś, że i dźwięk nie potrzebuje czasu do przejścia z jednego miejsca w drugie.

Dziś każdy chłopak ze szkoły wie, że dźwięk przebiega mniej więcej tysiąc stóp, a światło 900 miljonów stóp na sekundę.

Światło ażeby dojść z księżyca na ziemię potrzebuje jednej sekundy czasu. Potrzebuje ośmiu minut na przebieżenie 20 miljonów mil dzielących nas od słońca. Co za prędkość szalona! zdawałoby się nam, że nigdy tego nie zmierzymy, bo wszystkie nasze ziemskie stosunki na pierwszy rzut oka nie mogłyby nam dać miary do mierzenia tej prędkości. A jednakże znaleźli uczeni sposób mierzenia czasu, którego światło potrzebuje na przebieżenie tylko stóp dwunastu. Ile starań, ile dowcipu trzeba było zastosować, żeby tę chwilkę zmierzyć! Chwilka ta wynosi bowiem mniej jak jednę dziesięciotysięczną część sekundy!

Nic więc dziwnego, potem cośmy powiedzieli, że prędkość myśli potrafiono zmierzyć, kiedy nowsze badania wykazują, że porusza się ona bardzo powoli, w stosunku do wyżej wzmiankowanych prędkości, nawet nadzwyczaj powoli, bo dziesięć razy prawie powolniej niż dźwięk, czyli zaledwie 90 stóp na sekundę.

Uważamy ze zdziwionych twarzy czytelników, że temu za nic na słowo nie uwierzą, postaramy się więc w krótkości pokazać, w jaki sposób badania uczonych doprowadziły do tych rezultatów.

Naprzód zwróćmy uwagę na fakty codziennego życia. Wiemy, że jednocześnie o dwóch rzeczach myśleć nie możemy, że nawet bardzo trudno jest zwrócić uwagę na dwa jednoczesne wrażenia. Myśli w tych wypadkach następują po sobie, a to co po sobie następuje potrzebuje oczywiście czasu.

Jeżeli słyszymy dźięki powoli po sobie następujące, naprzykład uderzania wahadła w zegarze, to je z łatwością zliczyć możemy. Jeżeli przypuścimy, że te uderzenia będą coraz prędzej po sobie następowały, to dójdziemy do chwili, w której już uderzeń liczyć nie będziemy mogli. Następują wtedy za prędko po sobie, prędzej aniżeli myśl nasza.

Astronomowie zauważyli fakt jeden, który rzuca jeszcze jaśniejsze światło na tę sprawę. Często są oni zmuszeni obserwować przejście gwiazd przez nitki w lunecie. Jeżeli lunetę astronomiczną nastawimy wieczorem na jaką gwiazdę stałą, to ujrzymy ją jako punkcik świecący dość prędko się poruszający po przestrzeni, którą przez lunetę widzieć możemy. Jednocześnie widzimy w lunecie krzyżujące się nitki czarne. Otóż są obserwacje, w których chodzi astronomom o jak najdokładniejsze oznaczenie chwili, w której gwiazda przechodzi przez taką nitkę. Patrzy się wtedy na gwiazdę, która powoli zbliża się do nitki, i słucha jednocześnie powtarzających się co sekundę uderzeń wahadła. Jeżeli chwila przejścia gwiazdy przez nitkę wypadnie pomiędzy takiemi dwoma uderzeniami, to trzeba wtedy ocenić, w której dziesiętnej części sekundy przejście miało miejsce. Otóż znakomity astronom Bessel zauważył, że jeżeli mamy kilka lunet ustawionych tak, że gwiazda przechodzi we wszystkich jednocześnie przez nitkę i kilku astronomów robi jednocześnie obserwacje przejścia tej gwiazdy, to czas oznaczony przez nich wszystkich różni się dość znacznie. Dla jednego gwiazda przechodzi o chwilkę wcześniej, dla drugiego o chwilkę później przez nitkę.

Jeżeli to doświadczenie powtarzamy, to dochodzimy do wniosku, że dla każdego astronoma stosunek opóźnienia lub przyspieszenia zjawiska jest stały; zależy on od osobistości. Mamy w tym wypadku dwa wrażenia, które jednocześnie się pojawiają; wrażenie świetlne i głosowe. Musimy zobaczyć gwiazdę przechodzącą przez nitkę i słyszeć jednocześnie uderzenie zegara.

Przebieg myśli jest następujący: konstatujemy najprzód fakt, że nitka w lunecie przecina gwiazdę, w tej chwili myśl tę porzucamy i uważamy chwilę na zegarze, aby czas oznaczyć. Przejście od świadomości wrażenia świetlnego, do świadomości wrażenia głosowego (uderzenia wahadła) potrzebuje czasu i to różnego dla różnych osobistości, jak to doświadczenie pokazuje.

Mamy więc już fakt, który nam najwidoczniej pokazuje, że myśl pewnego czasu potrzebuje dla niektórych obserwatorów całej sekundy, ażeby przejść od świadomości jednego wrażenia do drugiego, jednocześnie się pokazującego.

Bessel i Nikolai poruszyli tę kwestję w świecie uczonym, lecz długo jeszcze czekała ona naukowego wyjaśnienia. Dopiero znakomitemu Helmholtzowi udało się ją rozwiązać, i wyjaśnić pytanie nadzwyczaj ważne i najbardziej delikatne w całej fizjologji.

Przyjrzyjmy się trochę bliżej sposobowi Helmholtza.

Wszystkie wrażenia zewnętrzne otrzymujemy za pomocą zmysłów. Jeżeli, dajmy na to dotkniemy się naszą ręką rozpalonego żelaza, to otrzymujemy na skórze, w zakończeniach nerwów wrażenie bólu. Od każdego miejsca, a więc i od tego, w którym ból czujemy, idą włókna nerwowe do mózgu. Po tych włóknach, jakby po drutach telegraficznych przesyła się do mózgu zawiadomienie o wrażeniu bólu otrzymanem z zewnątrz. Odebrawszy zawiadomienie, mózg postanawia cofnąć rękę od rozpalonego żelaza i wysyła rozkaz po innych włóknach nerwów do muskułów, ażeby ruch ten wykonały. Cały więc ten proces przebiega następującą drogę: od powierzchni skóry przez nerwy czucia do mózgu i od mózgu napowrót przez nerwy ruchu do muskułów, które wykonują rozkaz mózgu. Czy podrażnienie nerwów na przebieżenie tej drogi potrzebuje czasu? Na to pytanie odpowiedział Helmholtz twierdząco. Zbudował przyrząd, za pomocą którego można bardzo dokładnie ten czas zmierzyć.

Wiemy doskonale, że igła magnesowa zawieszona swobodnie zwraca stale jeden ze swoich końców ku północy. Jeżeli przez pudełko mosiężne, w którem się igła znajduje, przepuścimy tok elektryczny, to zauważymy, że igła zaczyna się wahać. Otóż z ilości i odchylenia tych wahnięć można jak najdokładniej obrachować czas trwania prądu elektrycznego. Jeżeli więc ustawimy naszą igłę tak, że za pomocą dotknięcia palcem ręki naszej, przeprowadzamy tok w około igły magnezowej, a odejmując ją przerywamy ten tok, to przyrząd taki możemy użyć do obrachowania prędkości myśli naszej. Dotykając palcem do pewnego miejsca przyrządu przeprowadzamy tok w około igły magnesowej, w tej chwili czujemy wstrząśnienie. Jest to wrażenie, o którem nerwy w tej chwili dają znać mózgowi — mózg postanawia cofnąć rękę — rękę cofamy i tok zostaje przerwany. Ta chwila pomiędzy dotknięciem a oderwaniem ręki jest właśnie owym czasem, którego podrażnienie nerwowe potrzebuje do przebieżenia przez włókna nerwowe i mózg. Chwilę tę możemy z wahnięć igły magnesowej jak najdokładniej obliczyć.

Dokładne i nadzwyczaj staranne badania Helmholtza za pomocą wyżej wspomnianego przyrządu, doprowadziły do następujących rezultatów: Wiadomość o wrażeniu otrzymanem biegnie do mózgu z prędkością 90 stóp na sekundę. Mózg potrzebuje do wydania stosownego rozporządzenia $^1/_{10}$ części sekundy. Rozporządzenie to biegnie znowu po nerwach do muskułów z prędkością taka samą jak wiadomość o wrażeniu do mózgu, czyli 90 stóp na sekundę. Prędkość ta nie jest jednakże stałą i wprawa może ją do pewnego stopnia zmienić. Ta zdolność zmiany jest właśnie zjawiskiem, które upoważnia nas do używania wyrażeń już np. bystrzejsze pojęcie, szybsze obejmowanie przedmiotu itp. W każdym razie frazes „szybki jak myśl“ traci swoją doniosłość, bo nawet lot orła szybującego w powietrzu z prędkością 100 stóp na sekundę przewyższa prędkość myśli naszej.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dzieła Teod. Tom. Jeża, w pierwszem zbiorowem wydaniu z przedmową Autora. Tom 1szy; Handzia Zahornicka — Szandor Kowacz. Lwów 1876 in 8. Str. 415.

Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że objawiając zdanie nasze o wartości zaznaczonych powyżej powieści, — które tylko ze wszech miar pochlebnem być

może — nie obawiamy się zarzutu, jakobyśmy pisali *pro domo sua*. Rękojmią nam dostateczną nazwisko autora. Wprawdzie nazwisko to w dzielnicy naszej mało dotychczas znane, największa bowiem część znakomitych utworów T. T. Jeża drukowaną była w Warszawie, bądź w pismach literackich, bądź w tomowych edycjach; — z tego jednak, co doszło do rąk naszych, każdy czytelnik szukający w powieści czegoś więcej, niżeli bajki i zręcznej intrygi samej, musiał wyrobić sobie sąd nieomylny, że obok takich mistrzów, jak Kraszewski i Korzeniowski, T. T. Jeżowi równie zaszczytne miejsce wyznaczyć należy. Pisarz ten jest tak co do formy, jak wyboru tematów, na wskróś oryginalnym, a dodać trzeba, nader szczęśliwie oryginalnym. Pierwsza jest u niego swobodną, nie krępowana żadnemi receptami stylistycznemi, więc jasna a zwięzła, wypowiadająca, choć często nieco szorstko, za to szczerze i poczciwie, myśli autora, który przemawia do czytelników, jak do grona przyjaciół poufałych, nie cedzi zaś wymęczonych słówek przez zęby, jak szablonowy dandy w etykietalnym salonie, gdzie ukłon zręczny i frazes wyjęty żywcem z modnego romansu francuskiego, a zaaplikowany stosownie, daje mu miano człowieka *comme il faut*... Podobnie jak o formie, powiedzieć by można o tematach przez T. T. Jeża wybieranych. Weźmy, n. p. pierwsze dwie, zbiór poczynające, powieści. Szukając bohaterów dla nich, autor nie poszedł we fraku na woskowane posadzki. Idąc bitym gościńcem spotkał ich, zaznajomił się z nimi, i odmalował nam w „Handzi Zahornickiej" parobka Sydora i Handzię prostą dzieweczkę, w „Szandorze Kowaczu", kowala Szandora i Marijkę, a odmalował ich wszystkich wraz z ich życiem i otoczeniem tak wiernie, że i czysta woda kryniczna nie odbiłaby wierniej w swym krysztale tych fizjonomij. Czytelnik czuje, że to ludzie z krwi i kości, życia i namiętności pełni, na każdej stronicy spotyka przedmiot, gdzieś koniecznie widziany, ale przeoczony, pominięty w szybkiej przez świat wędrówce — jak to nieraz pomija okiem, strudzonem od tylu a coraz świeższych widoków, najpiękniejsze krajobrazy, pomykające przed oknami wagonu. — Autor wie, że pereł kosztownych stokroć więcej na dnie morza, niżeli w złotych całego świata oprawach — więc śmiało zanurza się po nie, „pełza w tych niskich sferach społeczeństwa" — jak się sam wyraża w „Handzi Zachornickiej", i z tryumfem wynosi z otchłani na światło Boże zdobycz bogatą. — Nie wdając się w rozbiór dokładny obudwu powieści, bo nie tu po temu miejsce, tem bardziej, gdy i tym uwagom ogólnym więcej go poświęciliśmy, niżeli ten dział pisma naszego pozwala, zwracamy szczególną uwagę czytelników na „Szandora Kowacza" Powieść ta ma za tło Węgry w r. 1848 i 9tym, i mieści w sobie kilka bardzo ciekawych epizodów odnoszących się bezpośrednio do kampanji węgierskiej w 1849 r. nieobojętnej nam przecie, gdy tyle braci naszej legło wśród niej w obronie wolności narodu, od którego, wcale innej wdzięczności spodziewać się mieliśmy i mamy prawo.

Nowości

podawane przez księgarnię
Seyfarta i Czajkowskiego
we Lwowie.

Brühl. — Chów trzody chlewnej w 8ce. Warszawa 1875. 1 zł. 70 ct.

Hoffmann. — Hrabia i Niedźwiedziarz, przełożyła Paulina Wilkońska z 4 rycinami, w 16. Brody 1876 50 ct.

Eger, F. — Czytania religijno-moralne dla młodych osób, w 8ce. Warszawa 1875. 1 zł. 25 ct.

Jezierski, M. — Córka morza. Powieść w 8ce. Warszawa 1875 1 zł.

Kasparek, J. — Zbiór ustaw administracyjnych w królestwie Galicji i Lodomerji z Wielkiem Księstwem Krakowskim obowiązujących, do użytku organów c. k. Władz rządowych i Władz autonomicznych. Nowe wydanie tom I. i III. za policzeniem za I. do III. w oprawie zł. 12.

Ks. Laforete, T. D. — Czy jest diabeł. Tłumaczenie z trzeciego wydania w 8ce. Warszawa 50 ct.

Narbuttówna K. — W Ameryce. Powieść na tle życia społecznego w Stanach Zjednoczonych, w 8ce. Warszawa 1875 zł. 1·60.

Oczapowski, Dr. J. B. — Władza i układ Państwa. Zarysy polityki i porówn. Prawa Konstytucji. I. Wstęp i część ogólna w 8ce. Kraków 1875 zł. 2·50.

Przewodnik dla szewców, czyli krótki zbiór najcelniejszych wiadomości do kunsztu szewskiego należących — podług najnowszych źródeł ułożył J. Teofil Prawdzic z 124 drzeworytami w tekscie, w 8ce. Warszawa 1875 zł. 1·50.

Swierzbiński, R. — Suchoty i ziarnica przedstawione wedle najnowszych badań z leczeniem opartem na własnych postrzeżeniach. Warszawa 1875 — 40 ct.

Dzieła niemieckie.

Kirchhoff, Z. — Untersuchungen über das Sonnenspectrum und die Spectren der chemischen Elemente in 4. Berlin 1875. fl. 2·40.

Rossmässler. — Die Geschichte der Erde mit 130 Illustrationen in 8. Heelbroun 1876 fl. 3·90.

Groth, P. — Physikalische Krystallographie und Einleitung in die Krystallographische Kenntniss mit 557 Holzschnitten. Leipzig 1876 fl. 9·60.

Hofmann, K. B. — Lehrbuch der Zoochemie mit 16 in den Text eingedruckten Holzschnitten i 8. Wien 1876 fl. 1·50.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Od dnia 30go bm. zacznie wychodzić we Lwowie pod redakcją prof. uniwersytetu lwowskiego, dr. Br. Radziszewskiego, czasopismo polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, pod napisem *Kosmos*. Z prospektu dowiadujemy się, że *Kosmos* będzie się zajmował wyłącznie naukami przyrodniczemi — a wychodzić będzie w miesięcznych zeszytach. Jesteśmy pewni, że pismo to znajdzie odpowiednie koło czytelników, ponieważ wskutek ogólnego prądu cywilizacyjnego i u nas zamiłowanie do nauk przyrodniczych wzmaga się z dniem każdym.

— Znany w literaturze naszej p. Wł. Bełza, otworzył we Lwowie księgarnię. Znajduje się ona w hotelu Żorża. Cieszy nas prawdziwie, że osoby pracujące w literaturze, zaczynają oddawać się takim zawodom, które są powinowate z ich pracą umysłową. Dla tego też nie wątpimy, że księgarnia pana Bełzy u najszerszych kół naszej publiczności znajdzie szczere poparcie, publiczność bowiem umie cenić pracę rzetelną, obojętną zaś, a czasem nawet nieubłaganą jest dla tych tylko, którzy czczy frazes uważają za cel swego życia. — Księgarnia p. Bełzy wydała na sam początek *Poezje Marji B.* o których obszerniej pomówimy w jednym z przyszłych numerów naszego pisma.

— W Radomiu będzie wychodziło pismo polityczne, pt. „Radomianin." Wychodzący już „Korespondent Płocki" zarekomendował się w pierwszych zaraz numerach bardzo dobrze, i zajął od razu pierwszorzędne stanowisko w rzędzie zakordonowej prasy prowincjonalnej.

— Wkrótce wyjdzie tłumaczenie dzieła prof. Steinera pt. „Compendium der Kinderkrankheiten" dokonane przez studentów uniwersytetu Jagiellońskiego, pod przewodnictwem prof. Jakubowskiego i Oettingera.

— Księgarnia Levy w Paryżu wydała dwa ostatnie tomy Historji XIX wieku Micheleta. Pierwszy tom tej publikacji wyszedł za życia jeszcze autora pod tytułem: „Początki Bonapartych," drugi tom nosi tytuł: „Do 18 Brumaira," trzeci „Do Waterloo." Praca ta jest owocem ostatnich lat Micheleta, złamanego długą i ciężką chorobą, znać też na niej piętno zgorączkowanego umysłu. Z niesłychaną nienawiścią autor godzi w Napoleona, radby z czoła jego zedrzeć wszystkie wawrzyny, i zohydzić jego pamięć.

— Nakładem G Sennewalda wyszło w drugiej edycji „Warzywnictwo" zawierające dokładny wykład teoretyczno-praktyczny, uprawy ogrodowej i rolnej roślin warzywnych, przez dr. Edwarda Lucasa. Z ostatniego wydania przełożył Ludwik Dembowski (ze 115 rycinami oraz planem ogrodu warzywnego w 12ce, str. 344). Tegoż księgarza nakładem wydaną została książka pn. „Chwile Rozrywki." Sześć moralnych powieści dla starszych dzieci przez Teresę Jadwigę. Z rycinami rysunku Władysława Szymanowskiego.

— Słynny poeta włoski, Jan Prati, wydał nowy zbiór swoich poezyj. Są to przeważnie same sonety, których liczba dochodzi do sześciuset. Co jest zadziwiającem w niniejszem wydaniu, to, że między zebranemi sonetami nie ma żadnego miernego, a niektóre nawet odznaczają się niepospolitą pięknością stylu. Tytuł nowego zbioru „Psyche." Autor „Ermenegandy i Armanda" obiecuje wkrótce wydanie drugiego tomu balad i drobniejszych wierszy, które mają nosić tytuł: „Izis" Jan Prati mieszka obecnie w Rzymie, ma lat 60. Publiczność włoska wielbi sławnego autora, którego prace zaliczyć można do prawdziwych zjawisk w dziejach poezji naszego stulecia.

— Wsparcie roczne dla teatrów warszawskich i prowincyj zachodnich na rok bieżący z funduszów, Wydziału spraw wewnętrznych wynosi 76.000 rs.; z tego teatra warszawskie otrzymają sumę 60.000 rs. a prowincjonalne zachodnie tylko 16.000 rs. Na utrzymanie instytutu muzycznego w Warszawie przeznaczono 7.000 rs.

Odkrycia wynalazki i komunikacje.

— Odkrycia archeologiczne w Palestynie z powodu dokonywanej obecnie przez wyprawę pomiarową tryangulacji Palestyny, są już do dziś liczne i niesłychanie ważne. Z pomiędzy odkryć archeologicznych i biblijnych najciekawszemi są następujące: W Jerozolimie p. Conder odkrył Asnerye (gospodę pielgrzyma). Poszukiwania w Nablus przekonały, że posadzka i fundamenta świątyni u źródła Jakóba zachowały się wybornie pod sklepieniem z nowszych czasów. W Szefa-Amr odkryto grób nader świetny, z mnóstwem ozdób; dalej odkryto miejsce, w którem według zdania dawniejszych badaczy, był grób Benjami i grota, z której miał się ukazać Messjasz. Zwidzono także Kanę galilejską. I tu równie odkryto grotę, która prawdopodobnie służyła za świątynię w wiekach średnich.

— Jedno z pism amerykańskich (Scientific American) donosi o świetnej zdobyczy paleontologicznej. Jest to zaginiony olbrzymi bóbr, którego obszerny opis w temże piśmie został umieszczony. Przedpotowiec otrzymuje nazwisko: „Castoreides Ohioensis", od rzeki, w której łożysku dotąd spoczywał.

— J. Blake przedstawił Kalifornijskiej Akademji nauk ciekawe zjawisko wraz z jego wyjaśnieniem. Odkrycie to dotyczy tak zwanego „piasku grającego" (sonorous sand). Ziarnka piasku z wyspy Kani posiadają tę szczególną własność, iż podczas suchego stanu atmosfery przy prądzie wiatru wydają pewne nadzwyczaj wybitne dźwięki. Pan Blake, wziąwszy te ziarnka pod mikroskop, dostrzegł w nich miljony wydrążeń i wpadł na domniemanie, że dźwięki wydawane przez piasek mogą być spowodowane przepływem prądu powietrza przez wydrążenia. Hipotezę p. Blake stwierdza i ta okoliczność, że przy wilgotnym stanie powietrza piasek traci swoją zadziwiającą własność, ponieważ wydrążenia wówczas napełniają się wodą.

— W stanie New-Yorku płynie do jeziora Ontario niewielka rzeczka Genessee. W biegu swoim dotyka ważnego miasta Rochester. Słynie z bardzo pięknych wodospadów, które przemysł nie omieszkał już wyzyskać na swoją korzyść. Teraz ponad temi wodospadami przeprowadzono wiadukt, mający blisko 250 metrów długości i wzniesiony na 71 metrów nad poziomem wody w rzece. Kolosalne to dzieło zostało rozpoczęte i ukończone w ciągu dni 77!

Szkolnictwo.

— Dr. Szymon Syrski dotychczasowy konserwator i dyrektor muzeum historji naturalnej w Tryeście, został mianowany zwyczajnym profesorem zoologji na uniwersytecie lwowskim. Z radością notujemy tę nominację. Dr. Syrski jest bezwątpienia jednym z najznakomitszych naszych zoologów, a prace jego na polu zoologji cieszą się zupełnem uznaniem europejskich specjalistów.

Stan powietrza.

— „Noworossyjski Telegraf" pisze, że na drodze żelaznej Kursko-Moskiewskiej mróz dochodzi ciągle do 32 stopni niżej zera. Zimna są tak mocne, że wagony przymarzają do szyn i dla poruszenia pociągów z miejsca potrzeba używać dwóch lokomotyw. W ogóle utrzymują, że od pamiętnej zimy 1812 r. w Rossji podobnych silnych i długotrwałych mrozów nie bywało. W najlepszych nawet domach, w mieszkaniach temperatura nie przechodzi 8 do 10 stopni ciepła.

ROZMAITOŚCI.

— Obecnie, gdy zapowiedziana na rok bieżący wystawa powszechna, wkrótce zwróci uwagę całego świata na Filadelfję, sądzimy że nie będzie bez interesu dla czytelników naszych zapoznać się nieco z historją i powierzchownością tego miasta. Początek swój zawdzięcza ono Wiljamowi Penn, zapalonemu kwakrowi, który przez długi czas nie przestawał napierać na Karola II angielskiego, o wydzielenie mu gruntu w Ameryce Północnej na założenie miasta kwakrów, „świętego eksperymentu,“ jak go nazywał. Uzyskawszy wreszcie w r. 1650 to pozwolenie dla siebie i dziedziców swoich, zajął przestrzeń na północ od Morylandu a północo zachód od Delawary, wynoszącą około 2450 mil kwadratowych i nazwał ją Pensylwanją. Sumę dłużną rządowi za ten grunt w ilości 16000 fnt. szt. zapłacił Pen ze spadku, jaki nań przypadał po ojcu, znanym admirale angielskim. W r. 1682 odkupił Penn od Indjan wielki kawał ziemi, i założył na wąskim przesmyku pomiędzy dwiema spławnemi rzekami Delawarą i Schuylkillem miasto Filadelfję, obecnie drugie co do wielkości w Stanach Zjednoczonych, wedle spisu z 1875 liczące blisko 800.000 dusz ludności. Indjanie nazwali to miejsce kędy Penn założył pierwsze ulice Co-a-que-na-que. Nazwisko to jednak wkrótce się zatarło. Natomiast utrzymało się nazwisko miejsca, kędy Penn na ląd wyszedł. Nazywa się ono „Blué Anchor Landing“ a pierwszy dom, jaki postawiono w Filadelfji nazywał się „Blue Anchor Tavern.“ Zwykle wskazują na Filadelfję, jako na „historyczny gród Stanów Zjednoczonych“ i to z pewną słusznością, mieści ona bowiem w sobie więcej pomników i pamiątek z najdawniejszych czasów kolonizacji, aniżeli inne miasta. Do takich należy np. Stary kościół Szwedzki (Old Swedes' Church) zbudowany w roku 1700 przez pewnego Szweda, a potem wedle potrzeby używany do służby bożej, lub też jako forteca do obrony przeciw Indjanom. Kościół ten zbudowany z granitu znajdnje się w dzielnicy, zwanej niegdyś Wicaco, a obecnie Southwark. Z innych starych budowli dwie są jeszcze, które zasługują na wzmiankę. Pierwszą jest na „Letitia Strett“ dom Penna (Penn's Cottage), dziś znany pod nazwiskiem hotelu Wiljama Penna i będący tylko zajazdem niższego rzędu, drugą zaś budowlą starożytną, o powierzchowności zwracającej natychmiast uwagę, jest dzisiejszy magazyn tytoniu, niegdyś pod nazwiskiem London Coffee-House, będący ogniskiem, kędy się zbierali dla narad pierwsi dostojnicy prowincji. Właściwe miasto Filadelfja (City) jest nie wielkie, ale od 1854 połączyły się z niem różne przedmieścia, jak Kensington, Germantown, Northern Liberties, Westphiladelphia, Southwark, Spring-Garden itd. i powiększyły je niezmiernie. Domy w Filadelfji nie cisną się na siebie jak w innych miastach Ameryki, — owych wielkich koszar, zapchanych ubogą ludnością, tak pospolitych w nowym Yorku, tu nie znajdzie. Ulice noszą miana najczęściej od drzew przybrane. I tak mamy ulice: Vine (winną) Sasafras, Chestnut (kasztanową) Pine (jodłową) Cedar Street (cedrową) itd. Niektóre z nich obecnie już zostały przechrzczone jak np. Vine, Sasafras, Mulberry i Cedar-Street dziś nazywają się Race-Arche i South-street. Do pryncypalnych ulic należą Wyższa, czyli rynkowa ulica (High or Market Street.) Pewna część ulic jest oznaczona liczbami. Filadelfja może się poszczycić kilku publicznemi placami pięknej i sympatycznej powierzchowności. Do takich należy naprzykład Washington-Square przy ulicy Szóstej. Washington Square nosił niegdyś skromne miano „Potreis Field“ (pole garncarzów). Tu leży mnóstwo obrońców wolności, z ran lub ciężkiej choroby pomarłych w czasie wojny o niepodległość. Ziemia ta, na której dziś cieniste stoją drzewa, kędy się bujna aksamitna darń ściele i wesoły śpiew ptactwa rozlega, jest cała jednem wielkiem cmentarzyskiem. Drugim placem publicznym jest Franklin-Square przy ulicy Szóstej i Race, niegdyś także cmentarz, dzisiaj ozdobiony wspaniałą fontanną i będący ulubionem miejscem przechadzki. Trzeci wreszcie, Logan-square przy ulicy Osiemnastej i Race jest to również wielki cienistemi drzewami obsadzony plac. Tutaj podczas wojny secesjonistów w 1864 znajdowała się wielka Sanitary Fair tj. wystawa na korzyść rannych lub wdów i sierot po poległych Unjonistach. Jeżeli teraz zechcemy przystąpić do opisu niektórych budowli filadelfijskich, to przedewszystkiem musimy wspomnieć o pałacu położonym w środku miasta, w południowej stronie ulicy Chestnut, pomiędzy ulicą Trzecią a Czwartą, a zwanym „Independence-Hall“ dawniej „Carpenter-Hall.“ Dom ten, przyozdobiony wieżą uważają za kolebkę wolności amerykańskiej. Tutaj to jak wskazuje następujący napis: „Heary, Hancock and Adams inspired the Delegates of the Colonies with Nerve and Sinew for the Toils of War.“ (Henry, Hancock i Adams, wysłańcy kolonji z siłą i wytrwałością przygotowania wojenne przeprowadzili) — tutaj to zebrał się pierwszy kontynentalny kongres, zagajony przez starego pastora Duché wiecznie pamiętną „pierwszą modlitwą na kongresie“ w chwili, gdy wieść o zbombardowaniu Bostonu doszła do Filadelfji. Tutaj to reprezentanci osad uznali, że wojna z matką Anglją, jest nieuniknioną i zawotowali tę wojonę. Modlitwa zaś od której stary Duché rozpoczął to posiedzenie, miała być tak wzruszającą, że nawet poważni i beznamiętni kwakrowie słysząc ją, od łez powstrzymać się nie mogli. — W komnacie tegoż budynku położonej na wschód obradowal także i drugi kongres kontynentalny, i tutaj to 4 Lipca 1776 nastąpiło ogłoszenie niepodległości Ameryki. Zachowano też tę komnatę o ile możności w tym stanie, jak wówczas była. Ściany jej ozdobione tylko portretami zasłużonych obywateli i kilkoma cennemi pamiątkami historycznemi. Ze schodów tego domu, wychodzących na Independence-Square ogłosił sekretarz kongresu Charles Tompson niepodległość Ameryki zebranym tłumom ludu, przy odgłosie wielkiego dzwonu bijącego na gwałt. Okrzyk stutysięczny pokrył głos jego i dźwięki dzwonu. Dzisiaj dzwon ten noszący napis „Wolność ogłaszam“ wprawdzie istnieje jeszcze, ale pękł i leży bez użytku. Na drugim piętrze tej budowy Washington miał swoją sławną pożegnalną mowę, w której swój polityczny testament pozostawił. Na placu przed Independence Hall stoi posąg wielkiego obywatela z napisem: First in war, first in peace, first in the hearts of his countrymen“. (Pierwszy w wojnie, pierwszy w pokoju, pierwszy w sercach współziomków.“) Do najznaczniejszych ulic Filadelfji należy odznaczająca się pysznemi pałacami, ożywionym ruchem, pięknemi sklepami i magazynami, oraz trwałym i pełnym smaku mostem — Chestnut-street. Uważają ją i nie bez powodu za główną arterję Filadelfji. Największemi na niej budowlami są: Komora Celna, zawierająca zarazem i zarząd poczt. Jest to olbrzymi budynek o dwóch frontach; każdy zdobny ośmioma kolumnami doryckiemi. Budowy tego gmachu dokończono w 1821 a kosztował 500.000 dolarów. Na południowo zachodnim rogu ulicy Szóstej i Chestnut Street wznosi się wysoki z ciemnego kamienia zbudowany gmach, jest to własność Gazety „Public Ledger“ mającej około 90.000 abonentów. W bliskości tej olbrzymiej budowy znajdują się redakcje innych pism jak „Evening Bulletin“ „Press,“ „Day“ i jednego niemiecko-amerykańskiego czasopisma „Demokraty Filadelfijskiego.“ Nieopodal od gmachu „Pressy“ znajduje się elegancka, gotyckiej architektury dawna wolno-mularska świątynia (Old Masonic Temple.) Obszerna to bardzo budowla, a jednakże bracia lożowi mają zamiar wystawienia sobie nowego wspanialszego jeszcze miejsca zebrań, a starej świątyni chcą użyć do celów handlowych i dziś już jej nawet po części używają. (Tu należy zauważyć, że masonerja rozkwita w pełni w Stanach Zjednoczonych.) Idąc dalej wzdłuż ulicy Chestnut, zostawiwszy ulicę Trzynastą na boku spotykamy piękny gmach w stylu Jońskim. Jest to skończona w 1829 r. mennica Stanów Zjednoczonych. Odwiedzającym wstęp dozwolony codziennie przed południem, z wyjątkiem Soboty i Niedzieli. Amerykanie, jak wiadomo, należą do najbardziej rozmiłowanych w podróżowaniu narodów, ztąd też hotele ich odznaczają się największym komfortem i przepychem. Dowodem tego pomiędzy innemi, znajdujący się przy zbiegu ulic Szóstej i Chenut Street, 709 pokojów obejmujący olbrzymi Continental-Hotel i tuż w pobliżu przy ulicy Piętnastej Collonade-Hotel przygotowany na przyjęcie 400 gości. Dawniej na Chestnut Street znajdowała się także Wszechnica Pensylwańska. Przeniesiono ją jednak w 1872 do zachodniej części miasta, gdzie wybudowano dla niej okazały, po większej części marmurowy gmach. W pobliżu ulicy Chestnut druga ulica zwana szeroką, Broad Street, poszczycić się może także pięknemi budowlami. Jedną z nich jest amerykańska Akademja Muzyczna, zbudowana w smaku włosko bizantyjskim, a przeznaczona na miejsce dla koncertów, teatru i odczytów. Dalej spotykamy budującą się jeszcze Akademję Sztuk Pięknych, i Akademję nauk przyrodniczych z bibljoteką o 23.000 tomów i niezmiernie bogatem Muzeum, szczególniej w zbiory botaniczne, zoologiczne i geologiczne. Ponieważ gmach ten okazał się zbyt szczupłym, obecnie więc zamierzają wystawić jeszcze drugi z tem samem przeznaczeniem. W przeciwieństwie do powyżej już opisanych gwarnych i okazałych ulic, — ulica Arch jest cichą i spokojną siedzibą najbogatszych kupców w mieście. Na rogu jej znajduje się grobowiec Benjamina Franklina i jego małżonki, kratą tylko przedzielony od ulicy. Zakładów dobroczynnych nie braknie także w Filadelfji. Jednym z najgłowniejszych jest Girard-College. Założyciel jego, Szwajcar Girard, ofiarował na zakład wychowawczy dla sierot 45 akrów gruntu i 2 miljony dolarów — zastrzegł jednak w zapisie, aby żaden duchowny nie miał do zakładu przystępu. Obecnie w gmachu tym mieści się około 100 wychowanców otoczonych jak najtroskliwszą opieką.

— Towarzystwo Aklimatyzacyjne Paryskie powzięło zamiar przyswojenia słynnych Syryjskich gąbek wodom południowej Francji. Gąbki te są wielce cenne, ale wskutek nadmiernego wyławiania ich, poczynają być coraz rzadszemi. Okolica obfitująca w nie rozciąga się wzdłuż pustyni góry Karmel na południu aż do Aleksandretty na północy; pryncypalnym jednak punktem handlu gąbkami są miasta na skraju pustyni Libanonu. Wedle ostatnich sprawozdań konsula Angielskiego w Bejrucie, więcej niż 300 łodzi jest stale zajętych przy połowie gąbek; roczny zaś dochód z nich przynosi 100.000 do 125.000 dolarów. Niezbędnymi do tej pracy są nurki, których dawniej najwięcej dostarczały wyspy archipelagu greckiego, nie mogli jednakże pod względem zręczności wytrzymać konkurencji z Syryjczykami i dzisiaj ustąpili im już miejsca prawie zupełnie. Syryjscy nurkowie ćwiczą się w swoim zawodzie od najmłodszych lat i oddają mu się do lat 40. Starsi uważani są za niezdatnych. Głębia w jaką się zapuszczają bywa rozmaita od 8 do 58 metrów; długość czasu jaki mogą spędzić pod wodą zależy od ich wieku, siły i wprawy. 60 sekund uważa się za ostateczny termin; niektórzy jednak wytrzymują pod wodą i do 80 sekund. Nurek spuszczając się na dno, obciąża się wielkim kamieniem; napowrót wyciągają go na linie towarzysze. Skoro się znajdzie na dnie, jedną ręką powstrzymuje linę, a drugą odrywa gąbki i zbiera do siatki przywiązanej u pasa. Nie używa do tego ani noża, ani jakiegokolwiek bądź innego ostrego narzędzia, dla uniknięcia wypadku. Pomimo tego jednakże rok rocznie zdarza się po kilka nieszczęśliwych wypadków szczególniej zuchwalszym nurkom, gdy pragnąc więcej uzbierać, puszczą linę z ręki — a potem chcąc wydobyć się na wierzch znaleźć jej nie mogą. Największą część gąbek zużywa Francja.

Odpowiedzi Redakcji.

Pierwszy tom dzieł T. T. Jeża został wysłany już prenumeratorom. Zwracamy uwagę tych wszystkich którzy reklamują pojedyncze numera „Tygodnia“ że administracja będzie uwzględniała tylko te reklamacje, które zostaną przysłane w ciągu ośmiu dni po wyjściu nieotrzymanego numeru.

Treść Nr. 4.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).